SZUKANIE BOGA

Józef Watra Przewłocki

SZUKANIE BOGA

Zastrzega się prawo przedruku.
Copyright by J. Watra-Przewłocki.
1928.

JÓZEF WATRA-PRZEWŁOCKI

SZUKANIE BOGA

Opowieść dnia wczorajszego

Trylogji część I.

W POZNANIU
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
KAROLA RZEPECKIEGO
1928

Kochanemu Ks. Kozłowskiemu
Kicie na pamiątkę
serdecznych rozmów
z przed wielu lat, na
krótki czas emerytalny

J. Wotton-Przesławski.
Przemyśl, 15. 5. 1930.

Kochanemu Przyjacielowi

Bolesławowi Bystrzyckiemu

pracę niniejszą poświęcam.

autor.

WAŻNIEJSZE PRACE TEGOŻ AUTORA.

HISTORJA POLSKI ILUSTROWANA, wyczerpane.

W SŁONECZNE JUTRO.

NA DRUGIEJ PÓŁKULI, powieść, wyczerpane.

JEGO MIŁOŚĆ, powieść, wyczerpane.

JOHN BIG FOOT, szkice z podróży.

SMĘTEK-ZAWODNIK, klechdy i legendy Pomorza.

W PRZYGOTOWANIU.

CZERWONY ŚWIAT.

DZIECI MARYNY, trylogji część druga.

NOWI LUDZIE, trylogji część trzecia.

PRZEDMOWA.

Dając do rąk Czytelnikowi moje „Szukanie Boga", jako części I. trylogji, pragnę zamienić z nim słów kilka.

Dzień wczorajszy, dzień schopenhauerowskiego pesymizmu, skończył się. Pozostało ślepe zmęczenie, bezład wewnętrznej apatji, przykrytej szatą modnego i pozornie beztroskiego cynizmu, który ma usuwać strach przed Niewiadomem.

Lata ostatnie zrobiły z życia współczesnego skomplikowany splot, twardy i zły węzeł, którego nie można rozplątać sztucznym zasiewem optymizmu. Spekulatywny charakter starej intelektualnej epoki jest już poza nami, zaś zjawiska życiowe stają natrętne i spoglądają nam prosto w twarz, domagając się odpowiedzi.

Człowiek, przeżywający dzień dzisiejszy, przechodzi drogę krzyżową zapytań.

Szukamy nowych form, nowych wartości, albowiem powiedziano nam, że stare się zużyły

— zaś nowe słońce prawdy wskrześnie z chaosu czystej wiedzy, mierzącej metrem, ważącej wagą, doświadczającej w laboratorjach.

I pęd nasz w nowe słońce przyszłego objawienia nie poszedł drogą ducha i my o tem wiemy wszyscy.

Niepokój czai się w duszach szukających. Nie wiemy, czy dobrze szukamy i czy rzeczywiście szukamy, aczkolwiek usiłujemy przekonać siebie i drugich, że droga nasza wiedzie w słońce.

W powieści tej poruszyłem problem niezmiernie ważny. Poszedłem drogą, którą omijały stopy prawie wszystkich naszych powieściopisarzy.

Na pewno spotkam zaciętych wrogów, szczerych przyjaciół i obojętnych.

Tych pierwszych spotkam najwięcej. Spełniam jednak mój obowiązek; ktoś musiał poruszyć problem:

— Wierzyć w Boga, czy nie wierzyć?

Pytanie to musi wejść do naszej literatury w dobie obecnej, jako kwestja, nad którą nie wolno przechodzić do porządku, albo ją zbyć lekceważącem wzruszeniem ramion.

Książka ta obejmuje część I trylogji. Część II wyjdzie z druku z końcem lata b. r., pod tytułem „Dzieci Maryny“ — zaś część III, „Nowi ludzie“, ukaże się z końcem roku 1928.

W tych trzech powieściach, z których każda stanowi osobną całość, poruszam pytanie: — Czy dobrze szukamy i czy rzeczywiście szukamy?

AUTOR.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wydawało się inżynierowi Niewiarskiemu, że mu wyrosły skrzydła u ramion. Stał na pokładzie Fryderyka VIII i patrzał na lekko rozkołysaną toń Atlantyku, zalaną złotem promieni słonecznych. Parowiec posuwał się powoli. W dali majaczyła w mgłach porannych sylwetka Nowego Jorku, z którego okręt przed godziną wypłynął.

Niewiarski, oparty o burtę, spoglądał na falującą powierzchnię oceanu.

Był to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki, ogorzały, kościsty — o twarzy dziwnie spokojnej, prawie surowej. Pod wyraźnie zarysowanemi brwiami błyszczały oczy spokojne, głęboko osadzone, o połysku stalowym, śmiałe, wyzywające, dumne — oczy człowieka silnego i mądrego zarazem, dla którego życie i walka były żywiołem.

Spokojnie, prawie twardo spoglądał na niknący w oddali Nowy Jork.

Jeszcze w porcie, na chwilę przed podniesieniem kotwicy, gdy orkiestra okrętowa zagrała hymn amerykański, a zgromadzona na molo publiczność żegnała krewnych i znajomych odpływających do Europy, ani jeden muskuł nie

drgnął na twarzy inżyniera Niewiarskiego. Wiedział przecie, że pomiędzy żegnającymi i żegnanymi nikt mu nie był bliskim.

Słońce poranne przedarło się przez mgły i złotem swoich promieni zalało spokojne fale, lekko rozkołysane.

Uśmiechnął się do tych ciepłych promieni i szepnął do siebie:

— Tak samo, jak ongiś, jak przed laty osiemnastu, gdym do tych brzegów przypłynął, jako oberwaniec... Tak samo jest dziś...

Zapatrzył się daleko przed siebie, a w myślach stanęła mu jego własna młodość, jego lata chłopięce — cała przeszłość życia spędzonego w tej dziwnej ziemi.

Pamięta wszystko dobrze, jakby to się działo wczoraj...

Nic nie zapomniał, nic nie uronił — wszystko zabrał z sobą na wieczne czasy, i wiezie do ojczyzny swojej.

Przed osiemnastu laty przywiózł go do tych brzegów inny statek. Jechał jako pasażer międzypokładu, jako jedno z bydląt roboczych, przeznaczonych na wywóz zagranicę. Był wtedy studentem. Nędza wypędziła go za morze, w obcość.

Wylądował w New Jorku z jednym dolarem w kieszeni. Tak. Pamięta wszystko — dobrze

pamięta... Pracował w porcie, jako wyładowywacz cementu.

Toczył ciężkie beczki, po czterysta funtów każda. Ranił ręce o gwoździe i drzazgi wystające z poszarpanych dęgów. To go wtedy bolało, bardzo bolało. Potem przyszedł głód.

Przypomniał sobie, gdy głodny i obdarty siadywał w porcie, tuż obok sławnego na cały świat akwarjum i grzał do słońca swoje wynędzniałe ciało... Tak. To było też w tem mieście. A potem przyszły dnie strasznej próby. W tawernach portowych posługiwał, aby nie zginąć z głodu. Żył jak pies bezpański, żerujący na śmietnikach wielkomiejskich...

Kopało go życie na każdym kroku. Jego studenckie marzenia o wolności i swobodnem życiu zdeptała brutalnie twarda rzeczywistość.

Dwa lata żył w męce na bruku tego miasta. Na buforach towarowego pociągu uciekł z tego piekła, gdzie za złoto duszę można kupić.

W przytułku dla włóczęgów sypiał, wśród pospolitej bandy opryszków, „trampów" i zbrodniarzy.

Przecie to wszystko było „wczoraj", dopiero „wczoraj"? Jak film przedziwny stanęła mu przed oczyma cała jego przeszłość...

Przed osiemnastu laty żegnała go matka, wyprawiając w świat, za morze dalekie, do ziemi obcej, aby sobie wywalczył nową, lepszą

dolę. Ojca prawie nie pamiętał. Matka była mu wszystkiem. Dla niego pracowała, sterała siły i już dłużej nie mogła podołać zadaniu. Zebrała resztki pieniędzy, aby on, jej syn, mógł o własnych siłach brać się za bary z losem i zwyciężyć — na obcej ziemi.

W cichy, majowy wieczór przycisnęła go do piersi i całowała w usta, w oczy, w czoło, szepcąc bezładnie jakieś rodzinne zaklęcia.

— Jeno mi ty wróć, synu, jeno mi wróć... Pamiętaj! Ojciec był dzielnym człowiekiem... Dziad twój w powstaniu przepadł... Pamiętaj kim jesteś, zawsze pamiętaj... O sercu pamiętaj! O Bogu pamiętaj...

Te matczyne pocałunki Niewiarski zawsze czuł na swojej twarzy i matka była dla niego jedyną istotą na ziemi, którą prawdziwie kochał.

Wyjechał!

Pamięta jeszcze dziś miarowy stukot kół kolejowych i nazwy wywoływanych stacyj. Wtulony w narożnik wagonu, tępym wzrokiem bezradnego i zalęknionego młokosa patrzał na krajobrazy i na ludzi spotykanych.

W płóciennym woreczku umieszczonym na piersiach wiózł cały swój majątek — krwawicę matki. To mu musiało starczyć na podróż okrętem i otworzyć bramy raju.

Lękliwie dotykał przez ubranie swojego skarbu, badając, czy go nie zgubił. Po dwudziestu kilku godzinach dobił nareszcie do Hamburga.

Długie i szerokie ulice tego miasta, widziane tylko przelotnie przy przechodzeniu z dworca kolejowego do baraków Hamburg-America Line, nie podobały mu się.

A potem przyszedł odjazd.

Poraz pierwszy widział wtedy ocean...

Na okręcie, którym podówczas płynął, jako pasażer międzypokładu, kłębił się różnobarwny tłum emigrantów-polaków, słowaków, rusinów, horwatów i słoweńców. Wszyscy byli brudni, bezradni i strasznie przemęczeni. Marynarze niemieccy przeganiali ich, jak bydło — krzyczeli, wymyślali i popychali.

Niewiarski pamięta dobrze twarz młodej polskiej dziewczyny, która przez całą podróż okrętem siadywała na stosie płócien i płacząc, odmawiała pacierze.

Śmieszyła go ta kobieta, zalękniona, jak sarna schwytana w pułapkę, ale czuł dla niej, jakąś dziwną, niczem niewytłómaczoną sympatję, a gdy ją zaatakował jeden z marynarzy, stanął w jej obronie i tak soczyście nawymyślał marynarzowi swoją kiepską niemczyzną, że ten odszedł, jak niepyszny.

Niewiarski pamięta jeszcze dziś, że mu ta dziewczyna szepnęła wtedy nieśmiało:

— Bóg panu zapłaci, żeś bronił sieroty...

Nie widział jej po wyjściu z okrętu nigdy, ale twarz jej stanęła mu teraz przed oczyma, jak żywa. Typy dawno widziane stawały w tej chwili, jak barwny karnawał ludzki — natrętny, i taki bliski.

Oparty o burtę i zapatrzony przed siebie, w wizję własnej przeszłości — z błyskawiczną szybkością przerzucał w myślach obrazy.

Nowy Jork pamiętać będzie po wszystkie czasy, jak długo duch ludzki żyje. Niezapomni tego miasta nigdy. Tam przeszedł pierwszą nadludzką szkołę życia, tam mu zabrano wszystkie sny młodzieńcze, tam go nędza obdarła nielitościwie z wiary w dobro i w cnotę, i puściła w świat, jako twardego, stalowego człowieka.

Niewiarski nigdy nie rozumował nad tem, dlaczego to miasto tak nienawidził.

Potem przyszły dnie potężnej walki z losem. Nadludzkim wysiłkiem woli zdobył to, co chciał to jest wiedzę i swój zawód inżynierski. Jako prosty robotnik pracował w walcowni żelaza, a ucząc się nocami doszedł do tego, że w pięciu latach otrzymał dyplom inżyniera.

Wszystko, co zdobył, zawdzięczał tylko sobie, — nikt mu niepomagał, nikogo o nic nie prosił — wszystko się kryło w jego nadludzkiej woli.

Koledzy nazywali go „żołnierzem życia", który własny los wykuł wysiłkiem woli.

Szedł przez życie twardo, uparcie i nieustępliwie. W ostatnich dziesięciu latach, a szczególnie w siedmiu latach wielkiej wojny światowej, zdobył pokaźny majątek. Ale pamiętał dni szamotania się z losem. Dziś właśnie widział siebie samego takim, jakim był ongiś, w dniach nędzy i walki o swoje „ja" w życiu.

Kalejdoskop własnych wzlotów i upadków — klęsk i zwycięstw widział obecnie z przedziwną wyrazistością, jak kolorową mozajkę, ułożoną z miljona barwnych kamyczków.

Nie miał Niewiarski zwyczaju oglądania się pozasiebie, w przyszłość. Nie lubił grzebać w trumnach etapów swojego życia, bo wierzył, że prawdę i przyszłość kryje w sobie dzień dzisiejszy.

Obecnie wracał do Ojczyzny i to go widocznie tak dziwnie nastroiło duchowo.

Robił bezwiednie rachunek ze swojego życia i dlatego cofał się w przeszłość.

W ojczyźnie czekała go stara matka, jedyny człowiek na szerokim świecie, którego prawdziwie kochał, miłością niewyrozumowaną, podświadomą, tkwiącą swoimi korzeniami w najgłębszych pokładach jego duszy. Ale i nad tem Niewiarski nigdy nie myślał. Po prostu nie miał czasu na takie abstrakcyjne rozmyślania.

Czuł jednak, iż matka była w nim, a on był w niej, cały i bez zastrzeżeń.

Z krajem rodzinnym zerwał łączność jeszcze przed osiemnastu laty. Sprawy polityczne rozgrywające się w Europie w ostatnich latach nic go nie interesowały. Politykiem nie był. Za treść życia uważał pracę twórczą — wszystko inne za jałowiznę. Obojętną dla niego rzeczą było, czy w Polsce był taki rząd, czy inny, byle pracował przez naród dla narodu, a parł twórczość kraju na coraz górniejsze wyżyny.

Po wyjeździe z Ameryki obiecywał sobie, że odwiedzi matkę, pobędzie w kraju rodzinnym jakiś czas, i wróci do swojej pracy, aby kreślić śmiałe projekty olbrzymich mostów, łączyć nimi przepaście Gór Skalistych, przeskakiwać po nich wodospady i rzeki rozlewne. To był jego żywioł — to była realizacja jego snów o potędze człowieka dzisiejszego.

Przez nadludzką pracę zdobył wszystko co zdobyć chciał i ona była dla niego Alfą i Omegą. W niej widział jedynie wypowiadanie się ducha ludzkiego — poza nią nie uznawał niczego.

Twardym był jak stal, z której budował w Ameryce mosty śmiałe i olbrzymie, a zapatrzony w siebie, w swoją tytaniczną wolę, z której czerpał wszystko, co w nim było i co dawał drugim w swoich wysiłkach.

Świat miłości żywej, świat wiary w inne życie, lepsze i piękniejsze był mu obcym. Duch jego wypowiadał się tylko cyframi i śmiałymi rozpięciami przęseł mostowych. Litość, miłość i wiarę uważał za objawy słabości, za podpory potrzebne niedołęgom życiowym. Cała filozofja życia mieściła się u Niewiarskiego w czystej nauce, sprawdzonej cyframi, miarą, wagą i doświadczeniem chemicznem.

I teraz, gdy go opadły wspomnienia z lat dawnych, otrząsnął się z nich szybko. Blady uśmiech zaigrał na jego ustach i zgasł, jak lichy promyk słońca.

— Rozkrochmaliłem się — rzekł do siebie — a to jest nierealne i dziecinne...

Spojrzał na ocean.

Jasne rozbłyski słońca kolebały się na falach jak pozłota, płynęły wężowemi skrętami w roztokach bałwanów morskich i błyszczały djamentami na zapienionych grzbietach wód.

— Wieczną jest praca oceanu i globu całego — szepnął Niewiarski w zamyśleniu — a przecie człowiek jest częścią świata?...

Długo jeszcze stał na pokładzie i patrzał na fale, ozłocone promieniami słońca.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Na małej górskiej stacyjce zatrzymał się pociąg kolei podkarpackiej i rozległy się przeciągłe wołania konduktorów:

— JODŁOWA!

— JODŁOOOWA!

Z wagonu pierwszej klasy wysiadł inżynier Niewiarski. Był wieczór. Dwie naftowe latarnie oświetlające peron kolejowy, kopciły nielitościwie. Kilku pejsatych żydków szwargotało coś do siebie żargonem, wymachując żywo rękoma.

Niewiarski podszedł do kolejarza, który stał z latarką w ręku.

— Przepraszam pana, czy za opłatą mogę u pana pozostawić moją torbę podróżną?

— Dobrze. Niech Pan zostawi.

— Jutro po nią przyślę człowieka, oraz po kufry, które teraz ze mną przyjechały.

Kolejarz spojrzał uważnie na Niewiarskiego i poznał, że to człowiek przybyły z Ameryki. Odczuł, że tu coś zarobi.

— Dobrze, proszę pana, zrobi się wszystko, Może konie potrzebne? Zaraz się postaram...

— Dziękuję. Tutejszy jestem, drogę do siebie znam. Zresztą, to niedaleko.

— Dobranoc panu!

Kolejarz się ukłonił, a gdy Niewiarski odszedł, rzekł sam do siebie:

— Kto to może być? Wielki jakiś pan, to zaraz widać... Powiadał, że tutejszy... Przecie zawsze wiem, jak ktoś ma z Ameryki wrócić?...

Mrucząc do siebie, wszedł do budynku stacyjnego, aby pogasić lampy w poczekalni.

Niewiarski wolnym krokiem poszedł w stronę wsi. Wieczór był ciepły, wiosenny, księżyc świecił jasno. Droga wiodła szerokim jarem górskim, obok niej płynął potok i rozciągały się wąskie pasma łąk, które Niewiarski pamiętał doskonale jeszcze z lat dziecinnych. Te same wierzby rosły wzdłuż drogi co i dawniej. Grubaśne, przedziwnie pokręcone, wypruchniałe, z rozłożystemi czubami, krzepko wsparte korzeniami w ziemię, a rozgwarzone w poszumach i gadatliwie, jak wiejskie baby, gdy z kościoła ciągną w niedzielę długimi szeregami do swoich chałup.

Rozglądał się Niewiarski po swojej wsi rodzinnej i badał, czy wszystko jest tak, jak było dawniej, przed laty osiemnastu. Nic się nie zmieniło...

Te wielkie topole, na których wróble strzelał, jeszcze stały. Tylko zgrubiały i podrosły w górę... Stanął Niewiarski przed jedną z nich i oglądał ją, jakby starą znajomą.

— Na tej najwięcej wróbli siadywało i dobrze było strzelać...— Uśmiechnął się do siebie.

— I ten gruby konar, nadłamany wichurą przed dziewiętnastu laty, jeszcze się trzyma! — mruknął Niewiarski. — Tu świat inny, trwalszy jakiś, niezmienny...

Szedł powoli. Na mokradłach łąkowych grały już żaby swoje pierwsze, nieśmiałe jeszcze pieśni wiosenne. Od pól szedł swoisty zapach rozoranej ziemi, wilgotny, drażniący nozdrza, upojny, wabiący jakąś niesamowitą obietnicą...

— Takiego zapachu ziemia nigdzie niema — szepnął zadumany i pełną piersią wdychał tę przedziwną woń.

— Na równiku jest piekło żywe i jad się kryje w złotem słońcu — a gdzieindziej na południu, febra się czai, jak tygrys i porywa swoje ofiary... Dziwne to, iż ziemia nigdzie na świecie tak nie pachnie, jak tu właśnie...

Oświetlone skąpo okna chat mrugały migotliwie, jak oczy kocie, w stronę Niewiarskiego.

— Tu gdzie ta rozłożysta grusza mieszkał dawniej Lech... Pewnie i teraz mieszka. Tu się nic nie zmienia... — sarknął drwiąco — a jeżeli stary nieżyje, to napewno mieszka tu jego syn... Tacy oni wszyscy, uparci, przywiązani do skrawka ziemi... W nędzy, z pokolenia w pokolenie, tkwią, jak te wierzby przydrożne, jak te topole, na których się wróble

gnieździły i napewno się jeszcze gnieżdżą. Szeroki świat nie dla nich. Pogubią się tylko na nim, a jeżeli wrócą, to wrócą inni, obcy — „coś“ zgubią i nie znajdą tego już więcej.

Niewiarski czuł, że to „coś“ i on zgubił, na szerokim świecie. Co to było, nie wiedział, ale czuł, jakimś podświadomym instynktem rozumiał, że to „coś“ daleko było od niego. Niby mu to wszystko, co widział, było bliskie, a jednak dalekie... Szedł cicho przez wieś, jak duch, ale duch obcy, a jednak przywiązany pękiem niewidzialnych nici do tego skrawka gór, łąk i potoków.

Skręcił na prawo i szedł stokiem wzgórza ku staremu dworkowi, gdzie się urodził i wychował.

Zdala już widział ciemną kępę drzew. To sad, który jeszcze ojciec jego zasadził przed laty.

— Matce pozostał jeszcze ten sad i stary dom i te lipy przed domem — mruknął.

Podwórze domu rodzinnego było puste. W oknach ciemno. Wszedł na ganek i zapukał do drzwi.

Nikt nie odpowiadał.

Poszedł do okna i zastukał w szybę.

— Kto tam? — ozwał się jakiś głos.

Niewiarski poznał głos matki.

— To ja, Niewiarski, syn... Z Ameryki...

— Kto taki? — zapytał głos z wnętrza, ale jakiś lękliwy i drżący.

— Jan Niewiarski mówi — syn pani Niewiarskiej... Matko, to ja, syn twój, Janek!...

Skrzypnęły drzwi wewnątrz domu. Potem słychać było zgrzyt klucza w zamku.

Drzwi się otwarły.

Podszedł ku wejściu. Jakieś ręce spoczęły mu na ramionach. Zanim zdążył wypowiedzieć słowo, ręce dotknęły jego twarzy, policzków, ust i oczów — a potem zawisły mu na szyi.

Dotykiem poznała matka, że to był jej syn.

W milczeniu, bez słów, tuliła go do siebie. Niewiarski poczuł łzy na twarzy i coś się w nim załamało. Całował matkę bez pamięci i szeptał słowa bez związku.

— Jesteś... jesteś!... Bogu dzięki, że jesteś — mówiła Niewiarska przez łzy — dobrze żeś przyjechał... Czekałam, tyle lat czekałam, synu mój!...

— Matko! Matuś moja...

— Teraz już zamrę spokojnie, mając ciebie przy sobie.

— Nie umrzesz... żyć będziesz, matko!...

— Ty nie wiesz, nic nie wiesz... Przecie ja tylko na ciebie czekałam...

Do sieni weszła zaspana służąca z lampą w ręku.

— Witam cię w sieni... Boże mój drogi! Chodźże do pokoju, niech ci się napatrzę — mówiła Niewiarska i trzymając syna za rękę, wprowadziła go do pokoju.

Niewiarski przy świetle spojrzał na matkę. Postarzała się bardzo przez te osiemnaście lat. Włosy jej posiwiały, twarz poorały zmarszczki, a lata pochyliły ku ziemi.

— Siadajże mój kochany — mówiła rozpromieniona Niewiarska — ale też mężczyzna z ciebie wyrósł ogromny... Ogorzały, piękny i silny — a całkiem podobny do ojca.

Niewiarski wzruszony serdecznie, patrzał na matkę — pił jej radość i miłość macierzyńską, po raz pierwszy od wielu lat odczuwając ciepło domu rodzinnego.

— Ale żeś też mi nie dał znać — nie depeszował, że przyjedziesz...

— Chciałem ci, mamo, zrobić niespodziankę — odparł Niewiarski z uśmiechem.

— Bóg ci zapłać za dobre serce, synu. Oj, sprawiłeś mi niespodziankę najdroższą, mój Janku...

Na twarzy staruszki ukazały się rumieńce radości, a oczy jej płonęły ogniem wewnętrznym.

— Pewnieś głodny? Kasiu, zagrzej herbaty i przygotuj dla pana kolację — rzekła do służącej:

— Głodny nie jestem, mamo, ale herbaty chętnie się z tobą napiję...

— Mój Boże, ale cóż ja ci chłopcze dam jeść... Tyś przywykły do innego życia, wykwintnego, wspaniałego, a my tu żyjemy skromnie...

— Bywało matko różnie z tem wykwintnem życiem — odparł Niewiarski z uśmiechem — i źle bywało i dobrze bywało — i radośnie i smutno... Nie wszystko jest złotem i radością na szerokim świecie.

— Gdy się posilisz, będziemy gwarzyć — rzekła matka przymilnie — opowiesz mi wszystko, jak to tam jest na tym wielkim świecie — a przedewszystkiem, opowiesz mi o sobie... Zmęczony nie jesteś?

— Nie, mamo. Chętnie pogadam z tobą.

— Ogromnie się raduję, żeś wrócił.

— I ja, że cię widzę jeszcze zdrową i uśmiechniętą. Ale pozwolisz matko, że pójdę do pokoju, który mi jest przeznaczony, aby się umyć po podróży.

— Widzisz, mój kochany, z tej radości na śmierć zapomniałam. Rozgość się w dawnym pokoju ojca...

— Kasiu! Kasiu! Podaj świecę.

Po chwili weszła Kasia i pani Niewiarska poprowadziła syna do jego pokoju.

Tymczasem przygotowano kolację, Niewiarski jadł, uśmiechnął się do matki, opowiadał jej najweselsze epizody ze swojego życia, wypytywał uprzejmie o miejscowe stosunki, interesował się każdą drobnostką matczyną i słuchał bardzo uważnie każdego jej słowa.

— Mój kochany! Nie uwierzysz mi, jak się twoim przyjazdem ucieszy panna Marynia — rzekła rozpromieniona staruszka, gdy Niewiarski opowiedział jakiś wesoły epizod z czasów swojego pobytu w Alasce.

— Któż to taki? — za pytał.

— A prawda, ty jej przecie znać nie możesz, a zresztą może i nie pamiętasz. Był u nas we wsi stary nauczyciel, Stański się nazywał. W czasie przemarszu wojsk rosyjskich przez naszą wieś posądzono go, najniesłuszniej w świecie, o sprzyjanie Austrjakom i znoszenie się potajemnie z władzami wojskowemi. Bez sądu go rozstrzelali... Żona jego, poczciwa kobieta, umarła z rozpaczy. Pozostała po nich Marynia, która ocalała tylko dzięki temu, że jako pensjonarka była w szkołach w Krakowie.

— To istotnie straszne...

— A tak... tak, straszne. Zaopiekowałam się dziewczyną. Ukończyła szkołę i jest teraz nauczycielką w naszej wsi. Gdyś ty wyjeżdżał, liczyła zaledwie lat kilka. Nie przypominasz sobie?

— Nie mamo.

— Widzisz, panna Marynia, to właśnie córka pozostała po Stańskich. Dzielna i dobra dziewczyna. Przywiązała się do mnie, jak rodzona córka i bywa tu codziennie. Poprostu, żyć bezemnie nie może.

— Nic mi mama o tem nie pisała nigdy.

— Mój Boże, cóż tam ciebie mogła interesować sprawa takiej sieroty po nauczycielu. Nie chciałam ci o takich drobiazgach pisać. Na szerokim świecie miałeś przecie inne, ważniejsze kwestje.

— Istotnie...

— Opowiadaj mi teraz o sobie. Musiało ci ciężko być samemu na szerokim świecie, szczególnie w początkach, zanim przywykłeś?...

— Tak. Trochę było ciężko, ale pamiętałem, mamo, twoje nauki, że należy liczyć tylko na swoje własne siły i nigdy nie zapominać, kim się jest...

— I na Boga, synu, trzeba liczyć, na Boga też...

— Wolałem liczyć na siebie — rzekł Niewiarski z uśmiechem — i dobrze na tem wyszedłem.

— Nie rozumiem cię, Janku...

— To zupełnie proste. Nowoczesny świat nie uznaje, matko, sentymentów, złożył je do rekwi-

zytorni starych rupieci. Rozum i siła woli, to nowoczesny Bóg, którego świat ceni.

— Więc tak, bez Boga?...

Niewiarski się uśmiechnął.

— Daruj mi mamo, że na ten temat zakończymy rozmowę. Mnie wychował inny świat, a ciebie inny. Przebacz, ale nie mówmy o tem.

Niewiarska westchnęła cicho. Nie pytała już o nic. Zrozumiała wszystko.

Rozmowa się nie kleiła. Niewiarski pożegnał matkę na dobranoc i poszedł do swojego pokoju.

Spać mu się nie chciało.

Otworzył okno. Do pokoju wdarł się prąd świeżego, górskiego powietrza. Księżyc świecił jasno, zalewając mglistym blachmanem wyniosłe szczyty górskie, wśród których czerniały mroczne parowy.

Panoramę tych gór znał przecie od dzieciństwa, a jednak, dziś, wydawały mu się nowe, jakby po raz pierwszy widziane.

Długo w noc, siedział przy oknie i spoglądał na wędrówkę księżyca po niebie.

Tej nocy i pani Niewiarska nie mogła zasnąć. Długo rozmyślała. Gubiła się w labiryncie wspomnień i myśli, które jej skołataną latami głowę obległy.

— Syn wrócił... mój syn wrócił — szeptała cicho — ale to już nie mój syn... to jakiś

inny, obcy człowiek... Czas mi już odejść z tego świata. Na niego przecie tylko czekałam — na niego... Aby mi oczy zamknął, na cmentarz odprowadził i do grobu rodzinnego złożył, obok swojego ojca... Powiem na tamtym świecie mężowi i powiem Bogu, że to nie moja wina, nie moja... Chciałam, aby był mądry, wielki i silny — aby ród nasz przez niego się odrodził — przez mojego syna... Nie dozwolił Bóg, nie moja wina...

Szeptała długo, sama do siebie, aż tknięta jakąś myślą, z wielkim wysiłkiem zwlokła się z posłania, zapaliła czerwoną lampkę przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i padłszy na kolana, poczęła się modlić długo i żarliwie.

— Nie mnie, Matko Najświętsza — nie mnie daj szczęście, ale synowi mojemu... Ja tego, o, Matko Chrystusowa, nie rozumiem, co się z nim stało... ale czuję, że syn mój nie wierzy... nie wierzy... Daj światło jego duszy, daj prawdę żywą...

Blady świt wyłonił się na najwyższym szczycie Wisonej Góry, a starowina jeszcze szeptała słowa modlitwy.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pani Niewiarska zasłabła poważnie. Właściwie, chorowała już od dawna, ale nigdy nie czuła się tak słabą.

— Widzisz Janku — mówiła do syna, który ją przyszedł zapytać o zdrowie — starość nie radość, już na mnie czas. Widać, pytają się o mnie nasi przodkowie u Pana Boga...

— Ależ mamo, trzeba posłać po lekarza... Nie jesteś jeszcze tak starą, aby schodzić z tego świata.

Niewiarska się uśmiechnęła.

— Lekarz, synu, nic nie pomoże. Już mi dawno było trzeba odejść, ale czekałam na ciebie. Nieraz mówiłam do Marysieńki, że gdy tylko wrócisz, na mnie będzie czas, odejść... Spełniło mi się, choć nie wszystko... Bądź tak dobry i poślij Kasię po pannę Marysieńkę. Mam do niej prośbę. A lekarza nie wołaj. On wszystko o mnie już wie. Sam mi mówił, że trzymam się na tym świecie tylko jakąś siłą wewnętrzną, której jego nauka nie zna. Szkoda synu czasu i zabiegów.

Niewiarski się zafrasował. Posłał po pannę Stańską. Przyszła popołudniu i wprost udała się do pokoju pani Niewiarskiej.

Po chwili wezwała go matka do siebie.

— Pozwól Janku, że ci przedstawię moją opiekunkę i przyjaciółkę.

Niewiarski spojrzał i zadziwił się. Przed nim stała młoda, bardzo przystojna kobieta, prawie piękna.

Spodziewał się ujrzeć typową wiejską nauczycielkę, trochę brzydką, pretensjonalną i sztywną.

— Bardzo mi miło panią poznać — rzekł i skłonił się. — Wiele mi matka o pani mówiła.

— A mnie o panu — odparła młoda kobieta z prostotą — nie widzieliśmy się, jak sądzę, nigdy, ale znałam pana z opowiadań jego matki.

Głos jej był miły, swobodny, bez cienia sztucznej uprzejmości, uśmiechnęła się przytem do Niewiarskiego, uśmiechem starego przyjaciela, jakby mówiła:

— Wszystko o tobie wiem, i nic mi już powiedzieć o sobie nie możesz.

Ten uśmiech stropił Niewiarskiego. Tak kobiety nigdy do niego nie mówiły, ani takiego uśmiechu na ustach nie miały. Przynajmniej te, które on znał.

— Niezmiernie pani jestem wdzięczny za wszystko, co pani czyniła dla mojej matki — mówił Niewiarski — a zaiste wiele pani uczy-

niła, jeśli mam sądzić po tem, co mi mówiła moja matka.

— Jest pan bardzo uprzejmy — rzekła młoda kobieta — ale to ja powinnam dziękować pańskiej matce, a nie pan mnie.

— Dajcie spokój utarczce słownej — przerwała im pani Niewiarska z uśmiechem na bladych wargach — ale rada was widzę obok siebie. Lżej mi jakoś, bo was oboje kocham. Moja droga Marychno, bądź tak dobra i przygotuj jutro wszystko na przyjęcie księdza proboszcza. Janek się na tem nierozumie, więc go o to nie proszę. Rozumiesz mnie, dziecino kochana?

— Tak, droga matko — odparła serdecznie młoda kobieta.

Ton w jakim odpowiedź była i to słowo: „matko", zastanowiły Niewiarskiego...

Zrozumiał, że pomiędzy panną Stańską, a jego matką było coś więcej, aniżeli zwyczajna, sąsiedzka znajomość, oraz przyjaźń pomiędzy opiekunką, a jej wychowanicą.

— Mój drogi Janku, nie chcę cię obarczać zleceniami, więc mi przebacz, że z Marychną o nich pomówię...

Niewiarski zrozumiał, że panie chcą pozostać same.

— Do widzenia ci, mamo — a zwracając się do panny Stańskiej, dodał: — Z panią radbym pomówił o mamie, jeśli pani taka łaskawa.

— I owszem — odparła młoda kobieta.

— Zaczekam na ganku — dokończył Niewiarski.

— Dobrze.

Pani Niewiarska wiele miała do powiedzenia Marysieńce. Gdy się za Niewiarskim drzwi zamknęły, uniosła się staruszka nieco na łóżku i skinęła ręką na młodą kobietę.

— Usiądź przy mnie, moje dziecko, i słuchaj.

Panna Stańska posłusznie usiadła na pobliskim fotelu.

— Chcę z tobą pomówić o wielu rzeczach.

Na twarzy Niewiarskiej pojawił się smutek, a zapadłe głęboko oczy błyszczały dziwnie.

— Czuję, że nie wiele mi się należy na tym świecie...

— To złudzenie, mateńko...

— Nie, moje dziecko, to jest teraz pewność... Wiesz, że Janek wrócił. Na niego tylko czekałam, na nic więcej... Poproś księdza proboszcza, aby do mnie, jutro, z Panem Bogiem... Janka uprzedź. Ty mnie znasz i wiesz, że to koniec... Kaśki pilnuj, chociaż to pewna dziewczyna, ale mało komu dzisiaj wierzyć można. Gdyby mi się nagle pogorszyło, ona przyjdzie po ciebie... Przebacz mi, że cię fatyguję, ale Janek nie jest do takich spraw. Rozumiesz mnie, moje kochanie?

— Tak, matko — odparła panna Stańska z oczyma pełnymi łez — ale może będzie lepiej, jeżeli przy tobie pozostanę do jutra?...

— Zrób, jak chcesz, moja kochana... Na ciebie przelewam moją władzę gospodarską w tym domu. Janek, Janek daleki jest od tego, co my czujemy... Rozumiesz mnie moje dziecko?

— Nie, matko...

— Widzisz, on na szerokim świecie stał się innym człowiekiem.

— Jakto?

— Janek nie wierzy w to, w co my wierzymy...

— Jeszcze cię nie rozumiem, matko.

— Janek zgubił na szerokim świecie naszą polską duszę — wyszeptała Niewiarska z trudnością.

— Matko! Matko moja, jak się to mogło stać?...

— Nie wiem, nie wiem, moje dziecko... Stało się! Wola Boska... Nie nasza głowa w tem, jak się stało.

Panna Stańska drżała całem ciałem.

— Idź teraz do niego. Czeka na ciebie. Powiedz mu, że koniec mój się zbliża — niech się z tą myślą oswoi... Tacy, jak on, nie lękają się życia, ale drżą na widok zbliżającej się śmierci. To zdobywcy życia i jego ślepi czciciele, ale dzieci bezradne wobec wielkiej tajem-

nicy przemiany bytu, której nie rozumieją... Idź już, Marychno, idź...

Młoda kobieta skinęła głową milcząco i wyszła. Na białym ganku siedział Niewiarski i bawił się z łaciatym wyżłem, który od pierwszego dnia dziwnie do niego przylgnął.

— Długo pan na mnie czekał? — zapytała Stańska z uśmiechem na bladej twarzy.

— Dziękuję pani — odparł Niewiarski — istotnie, niespokojny jestem o matkę.

— Trzeba być silnym... Z matką jest źle...

— Jakto?

Niewiarski zerwał się z ławki.

— Jesteś pan mężczyzną. Można z panem pomówić otwarcie. Ja matkę pańską znam...

— Więc cóż?

— Matka czekała na pana... To się już dawno zaczęło i trwało całymi latami. Trzymała ją silna wiara i nieustępliwa chęć zobaczenia pana przed śmiercią. Wszystko jej dusza ma, czego gorąco pragnęła, teraz już jej nic w ciele nie zatrzyma...

Niewiarski stał jak człek gromem rażony.

— Nie poradzimy już nic, panie Janku — mówiła młoda kobieta — ani pan, ani ja... Nic nie poradzimy.

— Trzeba wezwać lekarzy... z Warszawy, z Krakowa, z Berlina... Niech kosztuje ile chce — moja matka żyć musi!...

Panna Stańska spojrzała na Niewiarskiego. Twarz mu płonęła dziwnie, a w oczach tlił się jakiś rozbłysk uporu twardego i nieustępliwego zarazem.

— Dałabym wiele, panie Janku, wiele bym dała — mówiła młoda kobieta — aby moja druga matka żyła...

— Uczynimy tedy wszystko! — zapalił się Niewiarski — Stać mnie na to! Panno Marjo! Pani mi pomoże...

— Chętnie, ale to wszystko napróżno... Matka nasza chce umrzeć... A na to niema lekarstwa...

Niewiarski zwiesił głowę na piersi i zapytał nieśmiało:

— Cóż mam robić?

— Niech pan zachowa spokój. Może Bóg wszystko odmieni... Niech pan będzie dla matki dobry. Matka pana kocha bardzo, panie Janku.

Pozostawiła go na ganku samego i pobiegła w stronę wsi.

Długo siedział na ganku sam i gładził kasztanowaty włos wyżła, który mu posłusznie leżał u nóg. Rozmyślał nad znikomością życia ludzkiego.

Z tej zadumy wyrwało go wezwanie na obiad. Poszedł, choć jeść mu się nie chciało. Przez całe popołudnie błąkał się po ogrodzie. Pod

wieczór przyszła panna Stańska, przywitała się z nim serdecznie i poszła do pokoju matki.

Wydała służącej dyspozycje na dzień jutrzejszy, a potem przyszła powiedzieć mu dobranoc.

— Jakże pani znalazła matkę? — zapytał.

— Niech pan będzie spokojny.

— Byłem u niej przed dwiema godzinami — rzekł Niewiarski — i wydawała mi się zdrowsza.

— Owszem, czuje się lepiej — odparła młoda kobieta — i sądzę, że jutro będzie jeszcze lepiej.

— To dobrze...

— Może pan spać spokojnie. Nad matką będę czuwała przez noc... Prosiła mnie o to — rzekła, jakby się chciała usprawiedliwić z tego, że zamierza w tym domu pozostać na noc.

— Nie wiem, jak się pani odwdzięczę za tyle dobroci i poświęcenia — rzekł Niewiarski.

Młoda kobieta spojrzała na niego trochę drwiąco.

— To mój obowiązek, proszę pana. Pańska matka, była także i moją matką, przybraną co prawda, ale matką...

Ostatnie słowa powiedziała twardo, z pewną domieszką dumy.

— Dobranoc panu — muszę jeszcze zajrzeć do matki.

— Dobranoc...

Odeszła. Niewiarski pozostał sam w saloniku. Próbował czytać jakąś napotkaną na stoliku książkę, ale nie mógł się skupić, aby wniknąć w treść tego, co czytał. Zapalił papierosa i pogrążył się w zadumie.

Oczy jego spoczęły nagle na szeregu starych olejnych portretów rodzinnych, zdobiących salonik. Zdziwił się. Wydawało mu się, że tych portretów nigdy nie widział przedtem. Wyglądały pretensjonalnie, prawie śmiesznie.

Jakiś tęgi szlachcic, o wąsie szumiastym, w chełmie żelaznym na głowie i pękiem strusich piór nad nim, wydawał się Niewiarskiemu przebranym aktorem podrzędnego teatru... A ten drugi — w czamarce, przepasany pasem szerokim, w czapie na bakier, z pistoletami za pasem i krzywą szablicą przy boku, miał minę tak dramatyczną i surową, że Niewiarski aż się wzdrygnął. Wstał z fotelu i podszedł do obrazu.

Surowe, czarne oczy portretu patrzały mu prosto w twarz. Spojrzał Niewiarski uważniej i aż się cofnął.

— Przecie to portret dziadka, który padł w 63 roku... A ten pierwszy, to protoplasta rodu, Sebastjan Niewiarski, horodczy królewski, zagończyk straszny Tatarom Krymskim, pies wierny Majestatu Rzeczypospolitej, który strzegł jej granic w stanicach kresowych...

Zmieszał się Niewiarski i szepnął do siebie z pokorą:

— Już ich nie poznaję... ale to wszystko przecie dawno minęło i już nie wróci...

Było mu duszno w domu. Wyszedł do ogrodu. Nad polami i łąkami snuły się blade mgły wieczorne, a zdala od chat niskich dolatywał rozgwar wsi, która kończyła swoje dzienne prace.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Wcześnie rano obudził się Niewiarski. Matce było coraz gorzej.

Około godziny dziesiątej przyszedł proboszcz z Panem Bogiem do chorej, a za nim wtłoczyła się do sieni ciżba bab wiejskich i dzieci. Poklękali kolejno i w skupieniu ducha rozpoczęli modlitwy za konających.

Niewiarski właśnie chciał iść do matki, ale się cofnął i został w swoim pokoju.

Po chwili wbiegła panna Stańska do jego pokoju.

— Wezwałam księdza, bo z matką źle. Zresztą, życzyła sobie tego. Niech pan zemną idzie do chorej... Trzeba, aby pan tam był...

Niewiarski posłusznie poszedł.

Było już po spowiedzi i Komunji.

Skłonił się dość sztywno proboszczowi i poszedł do łóżka chorej.

Leżała cicha i pogodna. Uśmiechnęła się na widok syna i wyciągnęła do niego bladą, kościstą, pomarszczoną rękę.

— Bóg ci zapłać, Janku, żeś przyjechał... Przykro mi, że to tak szybko, tak szybko, musimy się rozstać...

— Ależ, mamo...

— Nic niemów, bo ty niewiesz... Na ciebie tylko czekałam i, teraz już odejść mogę... Wszystkie papiery znajdziesz w biurku — przeczytaj je przy sposobności. A teraz usiądź przy mnie, obok łóżka i opowiadaj mi o sobie... Widzisz, zapomniałeś mi dokończyć naszej onegdajszej rozmowy, a bardzom ciekawa...

Panna Stańska poprosiła księdza do dalszych pokoji. Niewiarski pozostał z matką sam.

— Nie opowiedziałeś mi, jak ci tam, na tym wielkim świecie było... źle i ciężko — a jako matka twoja, bardzo jestem ciekawa... Musiało ci być ciężko, bo i siwe włosy masz na skroniach, a młody jesteś... Rodzina nasza nie miała szczęścia... Tyś pierwszy, który przełamał los... Jesteś teraz bogaty, ale smutny, bardzo smutny, mój chłopcze, i jakiś inny...

Niewiarskiego coś schwyciło za gardło i dławiło.

Pochylił się do ręki staruszki i przylgnął do niej ustami. Niewiarska drugą rękę wsparła mu na głowie.

— Bądź szczęśliwy i niech ci Bóg da wszystko, co dobre...

Młody człowiek czuł, jak ręka matki stygnie w jego dłoni i staje się bezwładna. Oderwał od niej usta i spojrzał na matkę. Leżała cicha, z zamkniętymi oczyma, jakby zasnęła.

Pani Niewiarska nie żyła.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Od chwili śmierci matki, Niewiarski się zmienił. Był jeszcze bardziej milczący, zamknięty w sobie, — pozornie spokojny i małomówny.

Nad zwłokami matki nie płakał, tylko patrzał w jej spokojną prawie uśmiechniętą twarz z dziwną uporczywością, jakby szukał na niej odpowiedzi na pytanie, które go dręczyło.

Zawsze spokojne i zimne jego oczy, o błyskach wypolerowanej stali — były teraz zmącone, jakby przygasłe.

Sam wydał wszystkie rozporządzenia, co do pogrzebu. Poszedł do proboszcza, obejrzał na cmentarzu stary grobowiec rodzinny i polecił go otworzyć. O zmarłej nie mówił z nikim. Wobec panny Stańskiej, która się kręciła po domu, był uprzejmy, ale trochę niechętny. Raziła go obecność tej młodej kobiety. Wydawała mu się zbyteczną osobą w tym domu.

— Gdy pochowam matkę — myślał Niewiarski — przestanie tu chodzić.

Trzeciego dnia odbył się pogrzeb, na który przybyła cała wieś. Ludność miejscowa znała Niewiarską dobrze i szanowała bardzo, więc wszyscy, przyszli jej oddać ostatnią posługę.

Już na pół godziny przed pogrzebem całe podwórze zaległy gromady bab i chłopstwa. Niewiarski się zdziwił.

— Nigdy nie sądziłem — rzekł do zapłakanej Stańskiej — aby matka miała tak dużo przyjaciół wśród mieszkańców tej wioski.

— Kochali ją wszyscy, bo była dobra i chętnie służyła pomocą biedniejszym od siebie — odparła młoda kobieta.

— Widzę, że sympatją się cieszyła...

— Nie sympatją, ale miłością powszechną. To różnica poważna, proszę pana — sprostowała jego uwagę młoda kobieta.

Niewiarski zamilkł.

Raził go głos tej kobiety — jej zachowanie się wobec niego, ta znajomość wszystkiego, co dotyczyło jego matki. Chwilami miał wrażenie, że ta młoda kobieta od dawna stała pomiędzy nim, a matką, a obecnie usiłuje grać wobec niego rolę jakiejś opiekunki.

Przeszedł do innego pokoju, pozostawiając Stańską samą.

Był dziwnie podniecony, ale zewnętrznie spokojny. Czuł, że coś idzie ku niemu, ale nie wiedział co.

Całą duszą pragnął, aby się ta ceremonja pogrzebowa rozpoczęła szybko i jaknajprędzej skończyła.

Po chwili przyjechał proboszcz. Kondukt pogrzebowy ruszył w stronę kościoła. Niewiarski szedł za trumną spokojny, ale blady jak trup. Nie mógł płakać. Czuł w sobie jakąś rozpaczliwą próżnię i straszny, niedający się określić ból.

Nie widział dokoła siebie nic, tylko tę czarną trumnę na ramionach chłopskich spoczywającą i za tą trumną szedł, jak za drogowskazem.

Co było w kościele, niczego nie słyszał, ani nie widział. Stańska przez cały czas ceremonji kościelnych stała obok niego, a gdy trumnę wynoszono z kościoła, Niewiarski jak automat szedł za nią.

Wiejskie baby spoglądały na niego z ukosa i szeptały trącając się łokciami:

— To ci ale syn — za rodzoną matką nawet nie popłącze...

— Taki obleciświat amerykański, to nawet o matkę nie stoi.

Gdy postawiono trumnę nad grobem, i proboszcz zaczął w długiej przemowie wysławiać cnoty zmarłej, jej religijność, jej dobroć i ofiarność — jej cierpliwość i jej mękę żywota, wszyscy zgromadzeni płakali.

Jeden tylko Niewiarski miał oczy suche i jakiś straszny szum w głowie. A gdy rozbrzmiała ostatnia pieśń pogrzebna i proboszcz rzucił

grudkę ziemi na wieko trumny, Niewiarskiemu pociemniało w oczach i runął twarzą na trumnę, sztywny, jak trup.

Podniosło go kilku mężczyzn.

Głowa mu zwisała na bok, a z czoła płynęła struga krwi. Skaleczył się o brzeg trumny.

Nieprzytomnego zawieziono do domu.

Panna Stańska posłała furmankę po lekarza i sama zajęła się chorym.

Przybyły lekarz skonstatował zapalenie mózgu, zalecił spokój i pieczołowitą opiekę, przepisał lekarstwo i zimne okłady na głowę, poczem odjechał.

Stańska załamała ręce.

— Przecie go nie pozostawię pod opieką Kaśki, Boże Wszechmogący...

Pobiegła do proboszcza.

Nie zastała go w domu, gdyż zaraz po pogrzebie wyjechał za interesami do Jasła.

— Co ja poczne? Co poczne? — pytała sama siebie, gdy wracała do białego dworku i w skołatanej swojej głowie nie mogła znaleść rady.

— Przecie to syn Niewiarskiej, matki mojej? I on tę matkę kochał widocznie... Kochał ją po swojemu. A że tej miłości nie umiał okazywać na zewnątrz, w słowach, w uśmiechach, to przecie... Zresztą, chory jest — tłumaczyła się sama przed sobą — należy mu się ratunek,

a któż tu w tej zapadłej wsi będzie się umiał nim opiekować?...

Twarz młodej dziewczyny spoważniała. Rozumiała na co się waży. Zdawała sobie z tego sprawę, że jej ludzkie języki nie będą szczędziły, że na całą wieś, a może i na całą okolicę, poleci stugębna plotka o niej.

— Wszystko jedno, niech mówią, co chcą — rzekła do siebie — obowiązek mój spełnię...

Niewiarskiego zastała bezprzytomnego, w gorączce. Majaczył. Kogoś wzywał w jakimś obcym języku, którego panna Marynia nie rozumiała, a potem nagle zaczął wołać na cały głos:

— Matko! Matko, dokąd idziesz?...

Strach ją zdjął straszny. Zawołała służącą, poleciła jej robić zimne okłady, a sama wyszukała konnego posłańca, i wysłała go do Pilzna po lekarstwa.

Przez całe popołudnie drżała ciągle o życie Niewiarskiego, który majaczył i tak rzucał się na łóżku, że chwilami obie kobiety, siłą go musiały trzymać.

Pod wieczór wrócił posłaniec z lekarstwami, po zażyciu których chory się uspokoił.

Przez całą noc czuwała na przemian ze służącą. Rano poszła do szkoły i w południe znowu wróciła.

Niewiarski stale był bezprzytomny.

Pod wieczór wezwano do Niewiarskiego księdza i ponownie posłano po lekarza.

Proboszcz się zdziwił:

— A pani, co tu robi?

Dziewczyna się zapłoniła.

— Nie miał się nim kto zaopiekować, a to syn mojej opiekunki...

— To nie miejsce dla pani. Proszę tylko pomyśleć, co na to ludzie powiedzą?...

— Nie było nikogo... a przecie z Kasią nie można pozostawić człowieka chorego na zapalenie mózgu...

— Ma pani rację, ale...

— Byłam zaraz po pogrzebie u księdza proboszcza, aby prosić o radę, ale nie zastałam go w domu.

— Oczywiście — byłem w Jaśle. A jak się chory miewa?

— Od wczoraj bezprzytomny, stale gorączkuje...

— Była tu pani przez całą noc?

— Byłam. Pomagała mi Kaśka. Obieśmy pilnowały chorego na zmianę.

Ksiądz Jaszyk potarł ręką czoło i bystro spojrzał na młodą kobietę.

— Dzielna kobieta z pani! Niech go pani pilnuje dalej. Będę przychodził codziennie. Gdyby sobie kto pozwolił na plotki, osłonię panią...

— Dziękuję księdzu proboszczowi.

— No, ale pójdziemy do chorego — rzekł proboszcz. — Spowiadać się pewnie nie będzie mógł?

— Nie. Przecie nie wie, co się z nim dzieje — szepnęła.

— Dam mu oleje święte na wszelki wypadek.

Przeszli do sypialni Niewiarskiego. Chory rozpalony gorączką, dyszał ciężko. Proboszcz odmówił modlitwy, dał choremu oleje święte, a gdy wychodził mruknął na pół do siebie, na pół do panny Maryni:

— Taki jest los człowieka...

— Czy proboszcz sądzi, że on umrze? — zapytała z przestrachem w głosie młoda kobieta.

— Ja nic nie sądzę. Młody jest i silny, a życie ludzkie jest w ręku Tego, co zapalił słońce i gwiazdy wspaniałe, a o najmniejszym robaczku na dnie morza także pamięta, aby mu się krzywda nie stała...

— Posłałam po doktora.

— Dobrze pani uczyniła. Niewiarski człek bogaty, setki tysięcy dolarów przywiózł z za oceanu... Miljoner na nasze stosunki. Niech to pani powie lekarzowi, to się lepiej będzie starał... Tacy oni przeważnie chrześcijanie i pieczołowici opiekunowie ciał ludzkich — za dobrą

zapłatą... Ale tego ostatniego, niech mu pani nie mówi...

Panna Marynia się uśmiechnęła.

— Nie powiem, księże proboszczu.

— No, Bóg z wami! A niech mi pani da znać, gdyby choremu było gorzej. Dowidzenia pani... Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków... dowidzenia księdzu proboszczowi.

Około godziny ósmej wieczór przyjechał doktór Szarski z Pilzna.

Był zły, że go na noc wyciągnięto do chorego i to tak daleko.

— Niema pani litości nad starym doktorem — zrzędził eskulap — na noc ciągnąć starego po takich wertepach i do tego furmanką.

— Pan doktór wybaczy, ale ja z polecenia księdza proboszcza... — kłamała mała kobietka, aby ugłaskać rozgniewanego starca.

— Proboszcz też bez serca, ale mnie prędko na swój ogród jeszcze nie dostanie.

— Chodzi panie doktorze o ratowanie ciężko chorego...

— To ja wiem doskonale, ale w takiej chorobie organizm to grunt. Leki tu nie wiele pomogą.

— To człek bardzo bogaty, panie doktorze... Miljony ze sobą przywiózł z Ameryki...

— Co pani mówi? — zainteresował się rozanielony lekarz.

— Tak, tak... Proboszcz mówił, że przywiózł ze sobą setki tysięcy dolarów... Dopiero przyjechał, prawie jakby na pogrzeb matki i sam zachorował.

— Patrzcie państwo, a to wypadek... O, będziemy go ratować, całą siłą ratować. Taki człowiek nie powinien umrzeć. Przyda się w naszym powiecie. Słyszałem, że jest inżynierem.

— Tak, jest inżynierem — potwierdziła.

— Widzi pani, że się przyda. Panie tego, przemysł otworzy w powiecie — kapitały tego, rzuci na szalę. Zrobi się ruch. Dobrze pani zrobiła, mnie wzywając, a nie doktora Grzybka, bo to młody i partacz. No, ale chodźmy do chorego.

Doktór Szarski zmierzył choremu gorączkę, zbadał puls, opukał go dokładnie, zapisał coś na papierku i natychmiast posłał umyślnego posłańca do siebie do domu, aby mu przywiózł potrzebne leki, których nawet apteki okoliczne nie miały.

Następnie zrobił choremu jakiś zastrzyk, zmienił okład na głowie i przeszedł z panną Stańską do salonu.

— Zakwateruję się tu, aż kryzys minie — rzekł do młodej kobiety — i będę go ratował

wszelkimi siłami, jakie daje nauka... Reszta nie należy już do mnie.

— Bóg panu wynagrodzi ten uczynek chrześcijański — rzekła panna Marynia.

— Robi człowiek, co może... A szkodaby go było, bo z twarzy sympatyczny, a silny jak niedźwiedź. Mam nadzieję, że się nie da chorobie.

— Jaki pan doktór dobry...

— Niech mi służąca jakie spanie przygotuje, a gdy posłaniec wróci z Pilzna, niech mnie zbudzi. Zmęczony jestem jazdą po tej strasznej drodze...

— Dobrze, panie doktorze.... Dobranoc panu.

— Dobranoc pani.

Młoda kobieta wydała polecenia służącej, aby doktora umieściła w gościnnym pokoju, a sama udała się do stołowego pokoju, zapaliła światło, wzięła jakąś książkę do ręki i próbowała czytać.

Zmęczona była ogromnie, ale do domu iść nie chciała.

— Kto wie, co się może w nocy wydarzyć — rozumowała. — Kaśka poczciwa, ale niedołęga — zresztą, przecie w tym domu niema teraz nikogo, ktoby mógł w nagłych wypadkach decydować, a przecie to mój obowiązek?

Zmęczona bardzo przejściami dnia minionego położyła się na otomanie i zasnęła. Zbudził ją wśród nocy tętent konia, gdy wrócił posłaniec z Pilzna.

Poprawiła włosy i wyszła na ganek.

Posłaniec przywiózł wszystko, poco go posłano.

Zbudziła lekarza. Zdziwił się ogromnie, że ją tu jeszcze widzi.

— Posłaniec wrócił, panie doktorze...

— Dobrze, dobrze... Dziękuję pani.

Wręczyła mu paczkę z lekarstwami i poszła zbudzić Kaśkę, która na dobre spała w pokoju Niewiarskiego, ułożywszy się na dywanie.

Po chwili do chorego przyszedł lekarz. Ponowił zastrzyki, dał choremu jakieś inne lekarstwo i polecił co pół godziny zmieniać zimne kompresy na głowę.

Rozespaną Kaśkę wysłała panna Stańska spać. Lekarz poszedł do swego pokoju. Została z chorym sama i do rana regularnie zmieniała okłady, jakby od tej dokładności całe życie Niewiarskiego zawisło. A gdy się na dobre dzień rozwidniał, chory na chwilę odzyskał przytomność i otworzył oczy.

Patrzał długo na pannę Marję, mrużył powieki i znowu patrzał, jakby sobie jej twarz przypominał.

Po chwili zupełnie przytomnie wypowiedział dwa słowa:

— Dziękuję pani...

— Czuje się pan lepiej?... — zapytała uradowana młoda kobieta.

Ale chory nie odpowiadał. Leżał spokojnie, regularniej oddychał, jakby pogrążony w jakiemś odrętwieniu.

Po chwili Niewiarski znowu otworzył oczy i patrzał tępo przed siebie, ale już nic nie mówił.

Te pierwsze objawy przytomności uradowały dziewczynę.

— Bóg da, że wróci do zdrowia... — szepnęła i poszła obudzić Kaśkę.

Przyprowadziła swoją toaletę do porządku, spożyła śniadanie i poszła do szkoły.

Przez trzy dni walczył organizm Niewiarskiego ze śmiercią, aż w końcu zwyciężył.

Trzeciego dnia, pod wieczór, gdyż już gorączka nie wracała, doktór Szarski oświadczył pannie Marji, że niebezpieczeństwo minęło.

— Zwyciężyłem, panno Marjo! — rzekł rozpromieniony — choremu już śmierć nie grozi! Poleży jeszcze trochę, ale się wyliże. To żelazna natura w tym człowieku. Takiego jeszcze nie widziałem... Teraz mogę jechać spokojnie do domu. Niech go pani pilnuje, a jeśliby się

przypadkiem pogorszyło, proszę mnie natychmiast wezwać.

Pojechał.

W duszy młodego dziewczęcia, jakby się nowe życie narodziło. Odetchnęła.

— A więc Bóg wysłuchał modłów i nie dał mu umrzeć — szepnęła cicho. — Spełniłam swój obowiązek i część długu wobec jego matki zaciągniętego, spłaciłam...

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Niewiarski szybko wracał do zdrowia, więc panna Stańska, coraz mniej pokazywała się w dworku, a czasem wpadała tylko na małą chwilę, zapytywała się Kaśki, jak się pan miewa i, odchodziła.

Po dwuch tygodniach naraiła Niewiarskiemu służącego, młodego chłopaka, który ongiś służył w wojsku, gdzie był ordynansem.

Chłopak był bystry, rezolut, a co najważniejsze uczciwy.

Spodobał się Niewiarskiemu na pierwszy rzut oka.

— Jak się nazywasz? — zapytał, gdy chłopak stanął przed nim w postawie żołnierskiej.

— Paweł Marcinek, proszę pana.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Byłeś w wojsku?

— Byłem. Przeszedłem wojnę rosyjsko-austrjacką i wojnę polsko-bolszewicką.

— A, toś zuch, jeśli cię nie zabili — zaśmiał się Niewiarski.

— E, zaśbym się tam dał zaraz zabić...

— Coś dotego czasu robił?

— Siedziałem u tatusia...

— Bogaty twój ojciec? — pytał dalej Niewiarski.

— Mają cztery morgi ziemi, a w chałupie nas jedenaścioro wszystkiego — odparł chłopak.

— Trochę was za wiele...

— Może i za wiele, ale nie byłoby źle, gdyby była robota. Oni się bez niej...

— Słusznie, słusznie... Bez pracy nudne życie — masz rację mój chłopcze. A co ty umiesz?

— Wszystko, proszę pana. Byłem ordynansem u pana generała Junga, a był ze mnie zawsze rad. Oczyszczę, co potrzeba, wyglancuję, jak lustro — po wojskowemu, a jak potrzeba to narządzę i zaszyję...

— Toś zuch!

— Wypiorę nawet koszulę... U nas na froncie, proszę pana, to różnie bywało i jeść co nie było, i koszuli nie było, to człowiek, tak własnym pomysłem... I koszula była i jeść było co...

Chłopak się rozgadał.

Niewiarski patrzał w jego szczerą, trochę jowialną twarz, uśmiechnął się przyjaźnie i pytał dalej, bo go ten chłopak zajął, swoją rubaszną i śmieszną szczerością.

— A na wojnie się bałeś, co? Przyznaj się...

— Bywało, żem się bojał, ale bywało, że bolszewicy uciekali... Ba, za tej starej Austrji, to człek szukał dobrego dekunku i leżał.

— A dlaczego?

— Ktoby się ta bił, za takie byle co, proszę pana. Nijakie to wojsko nie było przecie — Madziary, Słowaki, Czechy i Niemcy. O sobie tylko myśleli, a nas to na pierwszy ogień... Chłopy to spenetrowały migiem, i dekowała się wiara, chyba, że który był głupi, jak cap... z przeproszeniem pana.

— Dobrze mówisz, Pawełku, będziesz u mnie za ordynansa. Lubię wojskowy rygor i posłuszeństwo...

— Rozkaz, proszę pana — rzekł chłopak, prostując się całą osobą.

— Źle ci nie będzie.

— To ja wiem, bo mi już ta panienka ze szkoły powiedziała wszystko, co i jak...

— Co ci powiedziała?

— Ano, że pan dobry człowiek, ino taki, że wszystko lubi od razu i zaraz, albo jeszcze prędzej, jak można...

Niewiarski się uśmiechnął.

— Dowcipnieś to obmyślił. Ale weź się zaraz do swojej służby. Kaśka ci pokaże wszystko... Jak mi cię będzie potrzeba, to zawołam.

— Dobrze, proszę pana.

Tak Paweł Marcinek dostał się do służby u Niewiarskiego, który po kilku dniach wstał z łóżka i z pomocą służącego wyszedł na ganek, aby się nacieszyć słońcem wiosennem.

Blady, przepalony gorączką, spoglądał na swoją wieś rodzinną i rozpamiętywał ostatnie przejścia.

Wszystko, co w ostatnich tygodniach przeżył, wydawało mu się jakąś dziwną majaką, snem złym, jak zmora nocna — złudzeniem, które go omotało i chce udusić.

— Coś się we mnie zepsuło widocznie — myślał — zawsze byłem twardy. Nazywali mnie przecież żelaznym człowiekiem, a tu, w tym kraju załamuję się cały, do głębi...

W takich chwilach, gdy Niewiarski począł sam do siebie pomrukiwać, albo popadać w dziwne odrętwienie, przysuwał się ku niemu Marcinek, ze swoją pyzatą twarzą i wiedziony jakimś podświadomym instynktem, zaczynał rozmowę, jakby wiedział, że nic choremu bardziej nie pomoże, jak taka właśnie rozmowa.

— Niema to, proszę pana, jak słońce — ciepłe, wesołe, że aż powietrze podryguje od radości...

— Coś mówił, chłopcze?

— Wedle tego słońca, proszę pana, że tak dokumentnie grzeje...

— Tak, piękne jest słońce w tym kraju — potwierdził Niewiarski.

— Pewnie, że takiego słońca, to nikaj niema...

— A niema, nie...

— Pan ta najlepiej przecie wie, bo był daleko na świecie... — A czy, proszę pana, w dalekich krajach, takie samo słońce świeci? — pytał ciekawie.

— To samo, mój chłopcze, ale inne...

— Acha, to wedle tego, inne, co inaczej grzeje?...

— Tak. Tam, daleko, na południu, pod równikiem, słońce jest złe, bo pali, jak żywy ogień i śmierć niesie tak samo prędko, jak i życie...

— To niedobrze.

— Ale ludzie żyją, pracują, gromadzą skarby — mówił Niewiarski — i są tacy, którym jest dobrze. Chciałbyś mieć, Pawełku, dużo złota i skarbów? — zapytał go nagle.

Chłopak się namyślił.

— Nie, proszę pana, bo co mi po skarbach i po złocie — odparł.

— A cobyś tak chciał mieć? — pytał uparcie Niewiarski.

— Cobym chciał? Dom swój i godnych morgów ziemi rodzonej parę. Żonę jak się patrzy, gospodarną...

— Więcej nic?

Chłopak spojrzał na Niewiarskiego zdziwiony i odparł:

— A, nic...

Niewiarski popadł w zadumę. Rozmyślał nad prostą duszą Marcinka, któremu tak mało do szczęścia potrzeba, a jednak i tego mu brak.

Wiosna się rozgościła w górach na dobre. Na łąkach zakwitły kwiaty, zazieleniły się zagajniki i pokrajki leśne, rozśpiewało się ptactwo, zapachniały bzy w parku dworskim, wypędzono już dawno bydło z obór na paszę — a miodne pszczoły wyleciały na świat i radosnym brzękiem napełniły sady.

Ogród Niewiarskiego wyglądał jak jeden różowo-mleczny bukiet kwiecia. Zakwitły biało strzeliste grusze, a różowym śniegiem płatków kwiatowych okryły się krępe jabłonie.

Łagodne wonie szły od tego, ojczystego sadu, jak balsam najcenniejszy.

Po całych dniach siadywał Niewiarski w ogrodzie i zasłuchany w brzęk pszczół pracowitych, rozmyślał, albo czytał.

Żelazny jego organizm zwyciężył chorobę i szybko się odbudował. Gdy się już Niewiarski czuł zupełnie zdrowym, postanowił złożyć wizytę pannie Marji i proboszczowi, aby im podziękować za opiekę w czasie choroby.

Stańską zastał w domu, zapracowaną nad klombem kwiecia, w ogródku, przed szkołą.

Zmieszała się na jego widok, starając się ukryć w fałdach fartucha powalane ziemią ręce.

Niewiarski się skłonił.

— Przepraszam — rzekła zapłoniona młoda kobieta — że ręki nie podaję... powalana jest ziemią, gdyż sadziłam kwiaty...

— Przyszedłem pani podziękować za opiekę. Wiem wszystko od doktora Szarskiego i od służącej. Bez szybkiej opieki pani, byłbym napewno nie przetrzymał tej strasznej choroby.

— Przecenia pan moje zasługi, panie Niewiarski — odparła młoda kobieta — to nie ja, a doktór Szarski się zasłużył...

— A ja wiem, coś innego, właśnie od doktora...

Przy tych słowach Niewiarski się uśmiechnął i ciągnął dalej:

— Usiłuje pani pomiejszyć swoje zasługi, aby nie przyjąć odemnie podziękowania... Czy aż tak byłem dokuczliwym w czasie choroby?

— Nie. Był pan spokojny — odparła panna Marja — ale, ja wypełniłam tylko obowiązek chrześcijański — nic więcej.

— Dziękuję pani bardzo. Proszę mi wierzyć, że wdzięczność zachowam w sercu przez całe życie. Istotnie winien pani jestem bardzo wiele.

— Nie mówmy o tem. Dość, że pan już zdrowy zupełnie. Odpocznie pan jakiś czas, a potem...

— Właśnie, proszę pani, nie zdaję sobie jeszcze sprawy z tego, jak będzie to wyglądało to potem...

— Na to jeszcze czas — odparła młoda kobieta.

— Słusznie. Znowu pani ma rację.

Usiedli na ławeczce ogrodowej. Niewiarski zapalił papierosa i zagadnął:

— Po matce pozostały różne kobiece fatałaszki. Niewiem co z tem zrobić. Możeby pani była tak dobra i pomogła mi w tej sprawie...

Po raz pierwszy od czasu, gdy się poznali, Niewiarski prosił ją o przysługę.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Pani wybaczy, że jestem tak śmiały, ale dawna jej zażyłość z moją matką...

— Owszem, proszę pana, zajmę się tą sprawą — odrzekła cicho. — Matka pańska była i dla mnie jakby rodzoną matką...

— Dziękuję pani.

Niewiarski dziś po raz pierwszy zauważył, że Marynia była rzeczywiście ładną dziewczyną.

Jej duże błękitne oczy miały w sobie coś, czego Niewiarski w oczach innych kobiet nie spotykał.

Co prawda, kobietami mało się zajmował w swojem życiu, — po prostu brakowało mu na to czasu, ale kobiety znał i nie entuzjazmował się niemi nigdy.

Obejrzał ją bacznie, całą, jak człowiek, który przywykł do krytycznego obserwowania napotykanych ludzi i rzeczy.

Te jego badawcze spojrzenia zauważyła młoda kobieta i zapłoniła się, jakby ją kto przyłapał na rzeczy zdrożnej.

Niewiarski uczuł złość na samego siebie. Wstał szybko i zaczął się żegnać.

— Dziękuję jeszcze raz i przepraszam za napad.

— Tak się panu spieszy?

— Nie. Ale muszę jeszcze pójść podziękować księdzu proboszczowi. Pani należało się pierwszeństwo... Teraz na niego kolej.

Poszedł.

Stańska stała jeszcze długo przed szkołą i patrzała na oddalającego się Niewiarskiego, dopóki go nie zakryły rozkwitłe sady nad skrzyżowaniem dróg stojące.

Niewiarski kleru nie lubił. Dlaczego tak było, nie zastanawiał się nad tem nigdy. Religijnym człowiekiem nie był. Od osiemnastu lat był w kościele po raz pierwszy w czasie pogrzebu matki. Kwestję wiary uważał, za rzecz prywatną każdego człowieka. Specjalnej antypatji do ludzi wierzących nie czuł — ale kleru nie lubił.

Szedł więc do proboszcza nie bardzo ochotnie. Uważał jednak, że dobre wychowanie nakazuje podziękować.

Proboszcz przywitał go serdecznie. Niewiarski dziękował zimno, oficjalnie.

Od pierwszej chwili poczuł doświadczony ksiądz, że Niewiarski odczuwa pewną przykrość w rozmowie z nim, jako z księdzem. Starał się też rozmowę skracać do prostej wymiany słów.

Niewiarski podziękował za pomoc okazaną w czasie choroby, ale ani słowem nie wspomniał o dysponowaniu go na śmierć przez proboszcza.

Pożegnali się chłodno. Po odejściu Niewiarskiego, proboszcz się zafrasował.

— Co to może być za człowiek? — pytał sam siebie. — Rodzina dobra. On sam, człowiek dzielny, pracowity, dobry syn... Nie wiem, nie pojmuję, tego człowieka. Nic mu przecież złego nie uczyniłem. Trzeba będzie wypytać pannę Stańską. Może ona coś wie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Niewiarski prowadził życie dziwne. Nigdzie nie bywał. Pannę Marję widywał często, ale rozmowy z nią były zawsze krótkie. Zamknięty w sobie i milczący, włóczył się po okolicznych lasach ze strzelbą na ramieniu i z łaciatym polowczykiem, który się do dworu skądyś przyplątał i od razu przylgnął do samotnika.

Okoliczni chłopi nie wszyscy znali tajemniczego pana, który bobrował po lasach i polach, z nikim się nie witał, a co ich najbardziej gorszyło, przed Bożą Męką nigdy kapelusza nie uchylił.

Rozniosło się to po wsi, jeden drugiego wypytywał, aż w końcu każde dziecko wiedziało, że to młody pan Niewiarski. Starzy gospodarze kiwali głowami, a kobiety lękliwie wyrzucały ze siebie jedno słowo pogardliwe:

— Farmazon!...

Ale rzecz dziwna. Młodzi chłopacy, którzy w wojsku służyli i kolegowali ze służącym Niewiarskiego, Marcinkiem, kłaniali się temu „farmazonowi" i mawiali pomiędzy sobą:

— Ten zna świat i kpi ze wszystkiego.

Byli to przeważnie synowie gospodarzy, których wojna nauczyła zbyt wcześnie takich rze-

6*

czy, bez których zupełnie obejść się w życiu można. Ślepo do Niewiarskiego przywiązany Marcinek, opowiadał o nim dziwy.

Ten dumny i milczący człowiek imponował młodzieży, nie swojem zachowaniem się, ale tajemniczością. Widywali go nieraz chłopacy, jak strzelał w lesie jaskółki, żegnali się wtedy zabobonnie i mawiali:

— Ten coś w sobie ma niedobrego...

Ale starsi, co w wojsku byli, wyśmiewali ich:

— Głupcy jesteście!

— Strzelec ci to jest pierwszej klasy. Taki na froncie nałuszczyłby bolszewików, jak bobu. Szkoda, że go tu nie było. Poszlibyśmy z nim — cała kompanja góralska...

— Hej! psiakrew! Byłby to komendant, był...

Zapalczywe ich natury radowały się na samą myśl, coby to była za rozkosz z takim pójść na wojnę. Pawełek zazwyczaj dogadywał w takich wypadkach.

— Pewnie, żeby z nami poszedł swojakami. Przecie się tu rodził w naszej wsi, tak samo jak i my.

Wszystkie te gadaniny wytwarzały coraz cięższą atmosferę dokoła Niewiarskiego. Gdzie się pokazał jego łaciaty polowczyk, a on za nim, baby szeptały złośliwie:

— Już go ten krasy djabeł wiedzie w pola i w lasy...

— Płanetnik niesamowity i tyle!...

Do uszu panny Stańskiej dochodziły wszystkie gadaniny ludzkie, wyolbrzymione przez plotkę wiejską i sprawiały jej przykrość.

Dnia jednego przyszedł do szkoły proboszcz i zagadnął ją o Niewiarskiego.

— Nie wiem księże proboszczu, co u niego słychać, — do dworku nie chodzę już od miesiąca.

— I dobrze pani robi. Niewiarski się zachowuje dziwacznie, ludzie o nim we wsi gadają głupstwa. Ja wiem, że to nieprawda, co baby plotkują, ale proszę pani, takie wybryki robią szkodę wielką... Ja tu walczę z młodzieżą zepsutą przez wojnę, nawołuję do religijności, a tu nagle ta młodzież znajduje patrona i to w kim? W Niewiarskim...

— Nie wierzę księże proboszczu, aby tak było, jak ludzie gadają. Niewiarski jest człowiekiem rozumnym — może trochę dziwnym, ale naprawdę uczciwym.

— I ja jestem tego samego zdania, ale się lękam, czy przez swoją nieznajomość powojennej psychiki naszego ludu, nie narobi głupstw.

— Nie księże, to będą wszystko plotki.

— A wie pani, co postanowiłem? Oto pójdę dziś do Niewiarskiego, aby się z nim szczerze rozmówić. Jestem ojcem tej parafji i to mój święty obowiązek.

Wieczorem, gdy już zadzwoniono na Anioł Pański, udał się proboszcz do dworu. Zastał Niewiarskiego na ganku, zabawiającego się psem.

Zdziwił się zobaczywszy księdza.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł na powitanie proboszcz.

— Na wieki! — odparł niechętnie Niewiarski i poprosił proboszcza, aby usiadł w fotelu obok.

— Czemże mogę księdzu służyć? — zapytał.

— Ja tu do pana trochę w odwiedziny, a trochę na pogadankę — zaczął ostrożnie.

— Rad jestem bardzo. Ksiądz wie pewnie, że nigdzie nie bywam, z ludźmi się nie spotykam — dom tylko i polowania... więc jestem rad.

— Tak, wiem i żal mi pańskich zdolności i tego marnowania darów bożych.

Niewiarski milczał.

— Szkoda pana, panie Niewiarski... Ludzie plotą o panu trzy po trzy...

— O mnie? A cóż ja ludzi tutejszych mogę obchodzić?

— Jesteś pan tutejszy, a wieś polska, to nie Europa, ani Ameryka.

— No, dobrze — ale cóż ludzie i ja... Właściwie, nikomu w drogę nie wchodzę.

— Racja. Ale ludzie...

— Ech! Co mnie nasi ludzie mogą obchodzić i wiejskie gadaniny. Od ludzi niczego nie żądam, niechże mi dadzą spokój.

— Ale lud instynktownie żąda od pana dobrego przykładu... jak go ongiś żądał od pańskich przodków, którzy tu, na tym wiejskim cmentarzu spoczywają od tylu wieków — bo oni mu ten przykład dawali...

— Jak to mam rozumieć? — zapytał Niewiarski twardo.

— Tak, jak powiedziałem — odparł spokojnie proboszcz.

— Zrozumiałem — rzekł ironicznie Niewiarski — księdzu chodzi o dobry przykład z mej strony w kościele. Daruje ksiądz, ale mnie religja nic nie interesuje już od dawna. Niech ksiądz wychowuje swój lud jak mu się podoba... To przecie nie moja sprawa?

— To sprawa każdego religijnego człowieka.

— Ale nie moja.

— Jako duszpasterz... — zaczął ksiądz.

Niewiarski mu przerwał.

— Przepraszam! Powiedziałem, że do spraw religijnych ręki nie przykładam...

— Ja o to nie proszę.

— Przekonań moich nikomu nie narzucam, a robię to, co mnie się podoba...

— Ale Bóg...

— Nie wierzę! — sarknął.

— Dlaczego? — zapytał proboszcz prawie odruchowo.

— Nie wierzę, w to, czego niema. Jestem człowiekiem nowoczesnym. Wierzę w naukę, w miarę, wagę, doświadczenie chemiczne, w cyfry — ale nie wierzę w złudzenia teologiczne, w abstrakcje... Komu potrzebny Bóg, niech sobie wierzy... Ja mam swojego. Jest nim moja wola i mój rozum.

Proboszcz ukrył głowę w dłoniach, jakby się chciał zasłonić przed potokiem tych słów.

— Nie będę z panem dziś na ten temat prowadził dysputy — rzekł proboszcz mocno wzburzony — ale powiem panu jedno: Wola i rozum są znikome, a Bóg jest wieczny. Ten Bóg, w którego wierzył pański ojciec i wierzyła matka, jeszcze się panu w życiu pokaże. Zobaczy Go pan w całej Jego potędze i wtedy pańska wola i pański rozum upokorzą się przed Nim... Daj Boże, aby nie było wtedy zapóźno... Ja nie grożę — rzekł proboszcz, widząc uśmiech drwiący na ustach Niewiarskiego — jestem marny proch ziemski tak, jak i pan.

— Żegnam księdza — sarknął inżynier Niewiarski — i, nie dziwię się. Tak samo każdy porządny kupiec broni swojej firmy. To dla mnie zupełnie jasne... Nie mamy już o czem mówić.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... — rzekł cicho proboszcz i nie czekając na odpowiedź inżyniera, odszedł.

Niewiarski stał na ganku, rozdygotany każdym nerwem i miał w ustach jakieś mocne słowa, ale ich nie zdążył wypowiedzieć.

Zwrócił się w stronę drogi. Na zakręcie czerniała się jeszcze sylwetka proboszcza, który wolnym krokiem zdążał ku kościołowi i szeptał cicho pacierze.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Nadeszło upalne lato. Na barwnych, drobnych szachownicach pól dojrzewały już zboża. Poszarzały żyta, przyżółkły łany jęczmienia, wyzłociły się kwadraty obsiane pszenicą, tylko jeszcze wabiły jędrną zielenią wąskie pasma owsa na przygórzach, pod lasami. Żniwa były za pasem.

Niewiarski właśnie wrócił z Warszawy, gdzie bawił przez kilka dni w sprawach paszportowych, postanowił bowiem wyjechać z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Było mu w rodzinnej wsi ciężko na duszy i nieswojo.

Chciał o wszystkim co tu przeżył w dzieciństwie i ostatnio — zapomnieć, a tu każde drzewo, każdy kamień na wzgórzu, przypominał mu przeszłość.

— W jakim celu tu siedzę i duszę się w atmosferze zatęchłej parafiańszczyzny? — pytał w myślach sam siebie. — Przestałem pracować w swoim zawodzie, stałem się głupim rentjerem, który oblicza procenty od swoich kapitałów, zjada regularnie śniadania, obiady i kolacje, sypia przepisaną ilość godzin i z nudów włóczy się po polach... Istotnie, miłe zajęcia dla przeciętnego idjoty! A gdybym się tu właśnie zabrał do roboty?...

W takich chwilach, przychodziły mu jednak reflekcje:

— Do jakiej?

Nie znajdował na to pytanie żadnej odpowiedzi.

W Warszawie go zapewniono, że wizę do Ameryki otrzyma w tygodniu. Postanowił więc zlikwidować swoje interesy w Polsce, kapitały z Banku Polskiego przenieść do Ameryki, a dworek podarować pannie Stańskiej.

Gdy jej to poszedł powiedzieć, młoda kobieta nie zdziwiła się bynajmniej jego planem wyjazdu, ale propozycję przyjęcia dworku odrzuciła stanowczo.

— Propozycji pańskiej przyjąć nie mogę, panie Niewiarski...

— Czy można wiedzieć dlaczego pani odmawia? — zapytał zdziwiony bardzo.

— To sprawa skomplikowana... Żadną miarą nie mogę tego przyjąć...

— W takim razie, sprzedam.

— Nikt od pana nie kupi, ponieważ chłopi nie mają pieniędzy.

— Sprzedam żydowi! — rzekł ze złością Niewiarski.

— Tego pan nie zrobi...

— Dlaczego?

— Chociażby ze względu na pamięć matki...

— Cóż to ma za łączność z prochami mojej matki?

Stańska się wyprostowała na całą wysokość swojej drobnej osóbki. Oczy jej zapłonęły jakimś dziwnym ogniem, a cała twarz zakrzepła w twardym uporze.

— To ma wspólnego, że w tych ścianach żył pański pradziad, dziad, ojciec i matka... I pan sam w tych murach spędził lata dziecinne... To ma wspólnego, że ostatnim polskim dworem, który się w tych stronach ostał, jako znak prastarej polskiej kultury, z żydami handlować się nie godzi!...

Była blada z emocji. Niewiarski się zdziwił. Taką jej nigdy nie widział. Wyglądała jak drapieżne pisklę, które broni gniazda, wiedząc o tem, że go nie obroni.

— To są sentymenty... — bąknął nieśmiało.

— Może...

— Niech się pani namyśli. Jeżeli pani dworku nie przyjmie, sprzedam go pierwszemu lepszemu kupcowi, chociażby był żydem. Sądziłem, że pani sprawię radość... Wiem przecie, iż pani była przywiązana do matki mojej i spędziła pani wiele lat pod tym dachem... Dlaczego pani odmawia, panno Marjo?

Młoda kobieta milczała, a z oczu płynęły jej łzy.

— Pani płacze?... Dlaczego pani odmawia?

— Dlatego, że to pan mi go darowuje... dlatego!...

— Zrozumiałem — odparł sucho Niewiarski — żegnam panią... już prosić nie będę.

Odszedł, zły na siebie, na Stańską i na cały świat. A gdy odszedł, młoda kobieta szeptała wśród łez:

— Nie wie, nic nie wie... Boże! Przecie ja tego człowieka kocham całą duszą... i dlatego nie mogę... nie mogę...

Po raz pierwszy sama przed sobą wyznała, że kocha Niewiarskiego. Czuła w głębi duszy jakieś wyjątkowe uczucie do tego człowieka, ale nigdy jej się ono nie przedstawiło tak jasno, jak właśnie w chwili, gdy ją przyszedł obdarzyć prezentem i powiedzieć jej, że opuszcza kraj na zawsze.

Ten właśnie wstrząs sięgający do głębi jej duszy, wydobył to wyznanie, którego się lękała wobec samej siebie.

Długo jeszcze płakała tego wieczora i szeptała:

— Nigdy się nie dowie dlaczego, nigdy... Niech to będzie moją wieczystą tajemnicą.

Niewiarski wrócił do domu wściekły. Na ganku kopnął łaszącego się wyżła, który nie mógł zrozumieć dlaczego jego pan dziś taki zagniewany i psim zwyczajem czołgał się mu

dalej przy nogach, aby zarobić na kilka dalszych kopnięć.

Na skowyt psa wybiegł Pawełek.

— Dlaczego ten pies plącze się po ganku? — zapytał poirytowany.

Służący się przeraził. Nigdy nie widział, aby pan był taki zagniewany.

— Zawsze, proszę pana, siaduje na ganku...

— Dureń jesteś!

— Rozkaz, proszę pana! — odparł Pawełek, któremu ostry ton Niewiarskiego przypomniał w lot czasy wojskowe.

— Zapal światło w pokoju męskim — rozkazał.

— Dobrze proszę pana... — odrzekł Pawełek i skwapliwie pobiegł wykonać rozkaz.

Tego wieczora długo się świeciło w mieszkaniu Niewiarskiego, który pisał listy i robił notatki przed wyjazdem z Polski. Ale i w panieńskim pokoiku Stańskiej długo w noc błyszczało światło. Nie mogła zasnąć. Rozmyślała, płakała i modliła się, za niego...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Poranek był piękny. Zapowiadał się dzień upalny i duszny. Niewiarski zerwał się prawie o świcie.

— Wstawaj, chłopcze! — zawołał na służącego pod drzwiami jego pokoiku. — Podaj mi śniadanie, przygotuj strzelbę i torbę z ładunkami... Pójdę w pole.

— Znowu go ponosi — mruczał chłopak. — Na co on teraz chce polować, Bóg jeden raczy wiedzieć... Przecie nic w lesie o tej porze roku nie wolno strzelać... Chyba lisy?... Pewnikiem na lisy idzie, jako że to szkodniki setne...

Przyrządził śniadanie, podał je w stołowym pokoju, nałożył ładunków do torby, obejrzał broń i spokojnie czekał.

— Paweł! — zawołał Niewiarski.

Chłopak się zjawił, jakby wyrósł z pod ziemi.

— Jakby się kto o mnie dziś pytał, to powiesz, że mnie w domu niema...

— Tak, proszę pana.

— Powiesz, że będę w domu dopiero wieczorem. Idę dziś na Wisową Górę, obejdę szczyty od strony południowej i wrócę z drugiej strony wsi. Kaśce powiedz, niech obiadu dla mnie nie robi.

— Dobrze, proszę pana...

— Na kolację będę, jak zwykle. Zrozumiałeś?

— Tak, proszę pana.

— Psu daj jeść, niech głodny nie idzie za mną w pole. Goni w takim wypadku każdego kota, jak warjat.

— Już dałem, proszę pana.

— To, dobrze.

Po śniadaniu Niewiarski poszedł w stronę lasów.

Nad wsią wisiały blade rozbrzaski poranku, a już na polach uwijali się ludzie.

— Dziwny lud — mruknął do siebie — pracuje od świtu do nocy, jak szaleniec, ale nie myśli, nic nie myśli, i dlatego biedny. Nauczyli ich pracować nasi ojcowie za czasów pańszczyzny, ale ich nie nauczyli myśleć. Teraz jest to samo... A szkoda ich, dzielni robotnicy, a uczciwi jak nigdzie na świecie.

Niewiarski piął się na coraz wyższe szczyty. Wieś cała leżała mu u stóp.

— Wspaniale stąd wygląda mój dworek w tej kępie sadu — mruknął do siebie, gdy przystanął na chwilę, aby objąć okiem panoramę wsi.

— To robota ojca... A ten park, tuż obok, to pradziad sadził.

Jakiś głos wewnętrzny szepnął:

— To przecie sprzedasz żydom...

Niewiarski się żachnął, jakby go wąż ugryzł i wyrzucił ze siebie:

— Psiakrew! Warjatka!...

Był to epitet adresowany do panny Stańskiej.

Odwrócił się i poszedł dalej.

Słońce wzbijało się coraz wyżej i grzało coraz silniej. Po godzinie dotarł Niewiarski do okrajków leśnych i odpoczął, poczem ruszył w głąb strzelistego lasu jodłowego.

Powiał ku niemu wonny chłód leśny.

— Przed odjazdem trzeba obejrzeć swoje królestwo rozmyślań — rzekł sam do siebie — i, popatrzeć z Wisowej na ten szmat ziemi rodzinnej...

Szedł uparcie naprzód, choć pot strugami spływał mu po twarzy. W lesie robiło się duszno, jak zwykle w dnie upalne w górach. Około godziny dziesiątej, setnie zmachany, stanął na Wisowej.

Rozejrzał się w koło.

— Nie widziałem piękniejszego skrawka ziemi, jak ten właśnie... — szepnął w zamyśleniu.

— A chcesz stąd odejść na zawsze — odparła mu jego własna myśl, druga.

— Muszę, muszę...

— Dlaczego musisz?

— Bo chcę...

— To jedź! Buduj mosty w Ameryce, gromadź złoto, bo go masz jeszcze mało — szydziła ta druga myśl, która się teraz skądyś wzięła w Niewiarskim i natarczywie polemizowała z tą pierwszą, trzeźwą, amerykańską myślą.

Usiadł na kępie wrzosowiska, pod olbrzymią jodłą, aby odpocząć.

— Jesteś, jak latający Holender — mówiła mu myśl druga — cały świat jest twój, ale nic nie jest naprawdę twoje...

— Tak, masz słuszność, nic nie jest moje...

— Gonisz wiatr w polu i na szerokich morzach świata, a wiatr ci ucieka...

— Zdobyłem to, co chciałem...

— Tak. Zdobyłeś. I co ci z tego? Znalazłeś szczęście? — pytała uparta myśl druga.

— Szczęście jest udziałem idjotów — odparła myśl pierwsza.

— Ejże? Naprawdę? A może nie ze wszystkiem? Czyżby człowiek nie miał prawa do odrobiny szczęścia?

— Nie wiem... nie wiem...

— A ja wiem! Ma prawo. Niezaprzeczone prawo...

— Kto mu dał to prawo?

— Ten, co Go nazywają Bogiem...

— Nie wiem, nie widziałam Go nigdy — mówiła myśl pierwsza. — Nauka moja nic mi

o Nim nie mówiła pewnego, cyfry moje milczały, doświadczenia chemiczne...

— A szukałeś Go w sobie? — zapytała znienacka myśl druga.

— W sobie?

— Tak, w sobie. W tem, co w człowieku jest naprawdę człowiekiem — w duszy swojej?

— W duszy? Nie...

— A widzisz... Robiłeś źle.

— To są majaki, myśli bez treści, lotne jak mleczowych chwastów puszek biały — broniła się zaciekle myśl pierwsza:

— A jeżeli to właśnie jest prawdą życia, wtedy co?

Tętna waliły młotami w skronie Niewiarskiego. Potarł ręką czoło i szepnął:

— Jeszcze jestem słaby, a droga w taki upał zmęczyła mnie zbytnio.

Spojrzał na niebo i ze zdziwieniem zauważył, że od południa ciągnęły ogromne, bure chmury.

— Czyżby się zanosiło na burzę? — rzekł sam do siebie.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, rozbił się o szczyty górskie ciężki grzmot.

— Burza ciągnie.

Zakolebały się wyniosłe korony jodeł i świerków, lasem popłynęły przeciągłe poszumy gorące, wiatr zagrał rzewnie na igliwiu, a ziemię

okryły ciemności. Umilkły śpiewy ptasie, ucichła zwyczajna mowa lasu, jakby ze strachu przed burzą, która nadchodziła. Niewiarski się rozejrzał, aby poszukać schronnienia. Pies przytulił się lękliwie do jego nóg.

Las był gonny, strzelisty, bez podszycia.

— Trzeba szukać zagajnika — rzekł do siebie Niewiarski i począł się opuszczać ze szczytów ku mrocznym parowom, ale zanim uszedł znaczniejszy kawałek drogi, las wstrząsnął się cały — zagrał rozpaczliwie wszystkimi konarami, ugiął się pod huraganowem uderzeniem wiatru, jak łan dojrzałego zboża.

Zatrzeszczały stare, odwieczne jodły i czarne świerki, rozpaczliwie trzymając się korzeniami ziemi. Niewiarski czuł, jak mu się pod nogami prężą korzenie miałko wparte w ziemię i biegł w doliny. Lunęły gromy oślepiającą czerwienią błyskawic i strugi wody zwaliły się na las odrazu, jakby ktoś z góry wylał na ziemię całe morze. Niewiarski dopadł polany i wtulił się pomiędzy dwa małe, ale gęste świerki.

Potoki wody lały się z góry, a piorunowa kanonada nie ustawała ani na chwilę. Niewiarski, który bez lęku patrzał nieraz w swojem życiu na tajfuny mórz azjatyckich i borykał się z huraganami oceanów w swoich włóczęgach po szerokim świecie, patrzał teraz, jak całe połacie

lasu, polski wiatr halny rwał z korzeniami i rzucał, jak źdźbła słomy w doliny.

— Cyklon... — szepnął w przerażeniu, przemoknięty do ostatniej nitki.

— Byle wyjść z lasu, byle wyjść... — mamrotał, dzwoniąc zębami. A burza grała swoją straszną pieśń zniszczenia, szamotała się z lasem, bluzgała potokami wód, unosiła połamane gałęzie, oderwane od skał głazy i z bełkotliwym szumem niosła w jary górskie, a z jarów w doliny. I zdawało się Niewiarskiemu, że w tych potwornych porykach natury słyszy gromowy głos:

— To jestem!...

— To jestem!...

Przez polanę waliła woda rzeką, biła go po nogach, chełpliwa, żółta, jakby wypłynęła z rozkopanego grobu.

Wiatr przycichł.

Ale deszcz lał, jakby się wszystkie chmury zebrały nad Wisową Górą.

Niewiarski oprzytomniał.

— Deszczu nie przeczekam — rzekł do siebie — czas pójść do domu, jeśli się nie chce nabawić przeziębienia.

Na przełaj prosto przez lasy i parowy, ruszył w stronę wsi.

W górach narodziło się tysiące strumyków. Rwały wszystkie w doliny, mętne, szumiące,

nerwowe, szybkie. Łączyły się w głębokich, a mrocznych parowach w zlewiska i groźnie, jak zmobilizowane armje, płynęły kolumnami w doliny. Na wysoko położonych łąkach górskich, zlewały się w nowe rzeki i ponuro niosły na swoich falach wymulone kamienie, wyorane wodą pnie drzew i wichurą wydarte jedle i świerki.

Wieś leżała w szerokim parowie, z trzech stron otoczonym górami. Pojął Niewiarski odrazu, że wsi grozi powódź, tem straszniejsza, że niespodziewana.

— Jeżeli te masy wód runą odrazu do rzeki płynącej przez wieś i zatrzymają się na tamie gromadzącej wodę dla młynów w dolnej części wioski, rozerwą ją jak zetlałą szmatę i, zaleją pół wsi — rzekł do siebie.

Jako budowniczy mostów znał się na kaprysach rzek górskich i wiedział z doświadczenia, że w takich wypadkach każda chwila jest drogą.

— Tamę trzeba wzmacniać, podnieść ją na kilka metrów, odepchnąć masy wody na łąki, w przeciwnym razie, — biada wsi całej!... — szepnął drżącemi wargami i gnał naprzód ile mu tchu w piersiach starczyło. Ślizgał się po rozmokłych zboczach gór, padał i zrywał się znowu, brodził przez strumienie rwące naprzód — byle prędzej dotrzeć do wsi.

— Trzeba ratować wieś! Trzeba ratować... — szepnął w jakimś spaźmie przerażenia.

W podartem ubraniu, cały umazany błotem, bez czapki, gdyż mu ją wichura zdarła z głowy, dopadł do pierwszych chat na podlesiu.

Spojrzał w doliny, i oczom jego przedstawił się groźny widok. Szerokim parowem, poniżej którego rozciągała się wieś, płynęły ogromne masy wody, tuż przed głównemi rozbudowaniami wioski w poprzek parowu rozciągała się tama, która w normalnym czasie zatrzymywała nikły strumień górski i gromadziła wodę potrzebną młynom i tartakowi — a obecnie, ledwie wytrzymywała napór powodzi.

Powyżej tamy tworzyły się olbrzymie jeziora, zalewające pola i łąki nisko położone.

— Jeżeli cała ludność nie zabierze się do umocnienia i podwyższenia tamy, to biada wszystkim — rzekł sam do siebie i biegł coraz szybciej w stronę niebezpieczeństwa.

Obok tamy stała już gromada chłopów i bezradnie spoglądała na wzrastający przypływ wody. Z Górnej Jodłowej biegli już ludzie na wyścigi z wodą i opowiadali rzeczy straszne.

Woda rozerwała kilka lichych domostw i obór, poniosła bydło, porwała kilku śmiałków, którzy chcieli ratować swój dobytek. W górnej części wsi zniszczenie było poważne, ale naj-

większa klęska groziła głównemu ośrodkowi wioski, jeżeli tama pęknie.

Lotem błyskawicy, rozeszła się wiadomość o powodzi. Wszyscy pędzili w stronę tamy.

Proboszcz na pierwszą wieść o katastrofie powodzi, dosiadł konia, aby spieszyć parafianom z pomocą i radą. Obok urzędu gminnego przystanął i wspólnie z wójtem Małygą wydawał polecenia.

— Trzeba mieć w pogotowiu liny i siekiery! — wołał do ludzi. — Najbliższe domy położone nisko, trzeba opróżnić.

W całej wsi był rwetes, lament, krzyk; rozlegał się płacz przestraszonych bab i małych dzieci, które nierozumiały tego popłochu.

Na tamę wbiegł Niewiarski właśnie w chwili, gdy ku niemu podszedł proboszcz z wójtem i gromadą starszych gospodarzy.

— Z gór pędzą ogromne masy wody!... — Właśnie biegnę od strony Wisowej... Tama nie wytrzyma naporu wody, jeżeli się jej nie wzmocni...

Proboszcz spojrzał na Niewiarskiego i przeraził się. Inżynier wyglądał jak widmo.

— Ratujcie wieś! Ratujcie wieś! — krzyczał z całej piersi inżynier Niewiarski. — Kto żyw niech staje do pracy na tamie!

— Czy jeszcze czas? — zapytał zastrachany wójt.

— Na ratunek zawsze czas! — odparł Niewiarski.

— Ludzie! słuchajcie pana inżyniera! — zawołał proboszcz, widząc w Niewiarskim jedyny ratunek. — On się na tem zna! W imię Boże bierzcie się do pracy.

— Łopat i pali potrzeba! — krzyknął Niewiarski. — Ścinać przydrożne wierzby i olchy! Jak najwięcej gałęzi, pali i ziemi!

Ruszyły się gromady młodzieży. Skoczono do pobliskich chat po topory i siekiery. Na zagrożonej tamie zaroiło się od ludzi. Niewiarski objął komendę nad całą gromadą, wydawał polecenia, pokazywał, jak należy wbijać pale, jak zaplatać faszynę i sypać ziemię. Wszędzie był, o każdej rzeczy pamiętał, każdego zachęcił do pospiechu. Opieszałych z natury, strofował i naglił, gorliwych chwalił i pomagał im jeszcze.

Grzmiący jego głos, nawykły do rozkazywania wielkim gromadom robotników, słychać było co chwila.

— Na lewym końcu pali wbijać więcej pali! Na środku nie żałować gałęzi i ziemi! Tama musi być silna! — wołał Niewiarski rozpalony walką z żywiołem.

— Nie żałować wierzb i olch! Rąbać wszystko, co najbliższe, aby czasu nie tracić!

Ale woda przybierała raptownie.

Już od godziny wrzała gorączkowa praca na tamie, podnosiła się i potężniała zapora, ale też woda biła w nią coraz zajadlej i groźniej.

Tłumy kobiet i dzieci, oraz starców bezsilnych patrzały na tę potężną walkę człowieka z żywiołem. Na skraju tamy stała Stańska obok proboszcza i patrzała na Niewiarskiego pałającemi oczyma. Takim go nie widziała jeszcze. Wydawał jej się innym człowiekiem.

Proboszcz patrzał zdumiony i pytał sam siebie:

— Ażali to ten sam Niewiarski, któregośmy do tego czasu znali?

A gdy inżynier przeszedł na tę stronę tamy, gdzie stał proboszcz z gromadą kobiet, skinął głową nauczycielce i rzekł do proboszcza:

— Dziękuję księdzu proboszczowi za pomoc.

— Utrzyma pan tamę?

— Jeżeli woda nie będzie wzbierać szybciej, jako obecnie, utrzymam! — odparł Niewiarski i wmieszał się w tłum pracujący na tamie. Po chwili wrócił blady, jak płótno.

— Niech ksiądz poleci opróżnić wszystkie zagrody leżące poniżej tamy... Woda wzbiera raptownie. Tama może nie wytrzymać...

— W Imię Ojca i Syna! — rzekł przerażony proboszcz.

Stańska zachwiała się na nogach, jakby ją kto kulą w piersi uderzył.

— Jeszcze jakiś czas wytrzymam napór wody, ale chwili niema do stracenia...

— Niech pan to sam ogłosi — wyrzekł z trudem proboszcz.

— Hej! Ludzie! Słuchajcie! — wołał Niewiarski ile mu sił starczyło, aby przekrzyczeć łoskot siekier. — Woda przybiera coraz raptowniej... Niechaj kobiety i starcy idą do domów poniżej tamy i wyprowadzą z obór dobytek!... Tama może nie wytrzymać naporu wody!...

Popłoch ogarnął gromadę. Kto mieszkał poniżej tamy, a takich było wielu, rzucał łopatę, lub siekierę i pędził co tchu do domu.

Połowę ludzi ubyło na tamie.

Niewiarski załamał ręce i począł wołać:

— Nie uciekajcie z tamy! Jeżeli przestaniemy pracować, zaleje ją wodą i nie uratujemy niczego!

— Słusznie mówi! — wołali rozsądniejsi.

— Na rany Chrystusowe! Ludzie nie opuszczajcie tamy! — wołał proboszcz, widząc, na co się zanosi.

Ale tłum nie słuchał. Z każdą niemal chwilą zmniejszała się liczba pracujących. Woda szturmowała coraz zajadlej i w kilku miejscach zaczęła się przelewać przez tamę.

Niewiarski nie ustępował. Sam pochwycił łopatę i zrzucił marynarkę, aby mu było wygodniej pracować.

Pozostało przy nim kilkunastu młodych parobczaków i nieodstępny Marcinek.

W kilku miejscach woda porobiła w tamie wyrwy poważne i z szumem wielkim zaczęła się przedzierać, drąc pale, gałęzie i ziemię.

Pracujący na tamie rzucili się ku brzegowi.

Niewiarski pozostał, a przy nim wierny i dzielny Marcinek. Obejrzał się dookoła siebie i zrozumiał, że tamy nie uratuje.

Nagle, cała prawa strona tamy runęła pod naporem wody. Na brzegu rozległy się okrzyki:

— Podajcie inżynierowi linę!

— Niech pan ucieka!

— Cała tama się chwieje! — wołały przerażone głosy. Niewiarski nie słyszał tych nawoływań. Spojrzał na Marcinka.

— Ratuj się chłopcze! — rzekł zdławionym głosem.

— A pan? Nie odstąpię...

— Rozkazuję ci zejść z tamy.

— Nie zejdę... — uparcie powtarzał Pawełek i twardo spojrzał Niewiarskiemu w oczy.

— Pójdź ze mną! — rzekł Niewiarski — tama i tak przepadła...

Nagle, pod nogami zachwiała mu się ziemia i reszta tamy pogrążyła się w wodzie.

Z piersi stojących na brzegu wyrwał się okrzyk zgrozy. Żółte fale przykryły Niewiarskiego i Pawełka na chwilę. Tłum się rzucił poniżej tamy i biegł jak oszalały, nad brzegiem.

— Liny rzucać na wodę! Liny! — wołali mężczyźni. Na powierzchni wody ukazał się pierwszy Marcinek, a po chwili Niewiarski. Młody i silny chłopak, kilkoma rzutami ramion dopłynął do rzuconej przez kogoś liny.

Niewiarskiego prąd unosił coraz szybciej.

— Podajcie konia! — krzyknął proboszcz.

Wskoczył na siodło i zanim zdumiony tłum się zorjentował, ruszył kłusem z miejsca, wspiął konia i wparł go w spienione fale.

Przerażeni ludzie widzieli, jak dopłynął do Niewiarskiego i wciągnął go na konia.

Ale w tej samej chwili i koń i jeździec pogrążyli się w wodzie zupełnie. Silna klacz wypłynęła jednak na brzeg. Setki rąk wyciągnęły się w stronę uratowanych. Niewiarski był tak wyczerpany, że nie mógł ustać na nogach.

— Zabierzcie go do domu... — rzekł proboszcz. — Bogu niech będą dzięki!... A teraz bracia, spieszmy na ratunek tym, którzy są poniżej tamy.

— Niech się pan na mnie oprze — rzekła do Niewiarskiego panna Stańska — zaprowadzę do domu...

— Pawełek... Gdzie jest Pawełek? — pytał Niewiarski, rozglądając się dokoła.

— Pobiegł ratować innych — odparła młoda kobieta.

— Dziękuję pani, może zajdę sam... Zawsze mnie pani ratuje, a ja przecie nie jestem tego wart... Skłonił się młodej kobiecie i powlókł się sam w stronę dworu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Powódź wyrządziła ogromne szkody w całej wsi, ale gdyby nie Niewiarski i jego uporczywa obrona tamy, przez co wielu ludzi miało dość czasu na ratowanie się ucieczką, straty byłyby większe.

O jego czynie mówiła cała wieś, mówił ksiądz proboszcz, mówił wójt i sam starosta, który z Pilzna przyjechał na drugi dzień, aby zbadać rozmiary klęski.

W sali gminnej zebrał starosta najprzedniejszych gospodarzy i członków rady wioskowej. Wójt z dwoma starszymi gospodarzami udał się do Niewiarskiego, aby go zaprosić na zebranie, gdzie miano skonstatować rozmiary szkód, a następnie naradzić się nad pospieszeniem z pomocą powodzianom.

Niewiarski był chory. Leżał w łóżku, ale kazał zawezwać delegację do siebie.

— Co panowie powiecie? — zapytał delegatów.

— Ano, jakby to powiedzieć, gromada pana inżyniera prosi na radę... Bo, to wedle tego wylewu — mówił wójt — zjechał pan starosta... A gromada chce panu podziękować za ratunek... bo to niby, jakby ta tama prędzej

się rozpadła, wytopiliby się ludzie, jak myszy. My to proszę pana wiemy w całej wsi i dziękujemy, bardzo pięknie, panu inżynierowi...

Wójt odsapnął i czekał na odpowiedź.

Niewiarski spojrzał po chłopach. Wydawali się mu teraz jacyś bliżsi — czuł, że go z tymi ludźmi coś wiąże.

— Mój kochany Małyga — rzekł do wójta — bardzo wam dziękuję za zaproszenie. I wam i całej gromadzie, ale sami widzicie, że jestem słaby... Przemęczyłem się i przemarzłem. Radźcie już bezemnie. A powiedzcie gromadzie, że na pomoc dla najbiedniejszych, na cel od-odbudowy zniszczonych domostw, przeznaczam gminie pięćdziesiąt tysięcy złotych. Gdy całkiem przyjdę do siebie, chętnie wam poradzę, gdy o to zapytacie.

— Bóg panu zapłać za dar dla gminy — odparł uradowany wójt, spoglądając porozumiewawczo na chłopów. — Z całego serca gmina się wywdzięczy, jak będzie mogła.

— Dziękujemy bardzo pięknie... — chórem zawołali chłopi.

— Pokłońcie się odemnie księdzu proboszczowi i przeproście wszystkich, ale przyjść nie mogę — mówił Niewiarski.

— Wiadomo — podjął protekcjonalnie wójt — choroba nie wesele, sam widzę i rozeznać mogę. Jeszcze raz dziękujemy.

— Bądźcie zdrowi, panie wójcie.

— Panu Bogu oddaję — rzekł na pożegnanie wójt i wyszedł z delegacją.

Gdy się chłopi znaleźli na drodze, stary Mocoń rzekł napół do siebie, napół do towarzyszącego mu wójta:

— A mówili, że ten Niewiarski to zły i nieużyty człek, a on...

— A bajały baby po wsi — poparł jeden z gospodarzy.

— Przecie i proboszcz, coś tam do niego mieli...

— Mieli, mieli... ale jak się topił, to ze szkapą chlusnęli do wody, jak za rodzonym bratem — zaopinjował wójt.

— Wiadomo... chrześcijański uczynek — podjął obronę Mocoń.

— Kto tam wie, co w tym Niewiarskim siedziało i siedzi, ale miłosierny człek — serce ma, jako swojak...

— Godny pan! Ja tam w te babskie bajduły nie wierzyłem nigdy — rzekł z powagą wójt. — Wsi bronił, jakby to wszystko było jego, a nie chłopskie.

— Pewnie — przytwierdził stary Mocoń — a potrza mu było? Przecie do dworku woda nigdy nie dojdzie, bo za wysoko, hań, na górze.

Tak sobie gadali po drodze, a gdy weszli do sali gminnej, oczy wszystkich na nich spoczęły.

Wrócili bez Niewiarskiego. Na twarzy proboszcza odbił się przykry zawód.

— Czy nie przyjdzie? — zapytał niecierpliwie wójta.

— Zaraz to wszystko wyłożę — rzekł z powagą Małyga. — Proszę o spokój! Byliśmy u pana Niewiarskiego, jakoście sobie panowie wszyscy życzyli i pan starosta także.

— I co? Co powiedział? — pytano z różnych stron.

— Przyjął nas godnie, ale jest chory i dlatego przyjść nie może... Potem powiedział tak: rzeknijcie gromadzie, że na pomoc dla najbiedniejszych i na cel odbudowy zniszczonych domostw przeznaczam gminie pięćdziesiąt tysięcy złotych...

Po sali przeszedł szmer zdumienia. Ofiara istotnie była wielka.

— Podziękowaliśmy w imieniu wszystkich, jak się należało, a on powiada: Gdy całkiem przyjdę do siebie, to wam pomogę radą... Godny człek i litościwy bardzo — zakończył wójt swoje urzędowe sprawozdanie.

Starosta się zdumiał.

— Kto jest ten Niewiarski? — zapytał proboszcza.

— Tutejszy. Syn byłego dziedzica tej wioski. Majątek sparcelowano już dawno, jeszcze za życia starego Niewiarskiego. Syn jest inżynie-

rem, a będąc zagranicą, dorobił się kolosalnego majątku.

— Historja ciekawa — mruknął starosta.

— Owszem, ciekawa — odparł proboszcz.

— To my, tu nie mamy, co radzić — rzekł starosta. — Problem jest rozwiązany. Niech gmina spisze szkody. Utworzy komitet, zaprosi do niego pana Niewiarskiego i robi co do niej należy.

— A podatki, panie starosto? — zapytał wójt, któremu chodziło o to, aby z powodu powodzi wytargować obniżenie podatków w tym roku.

— I podatki będziecie mieć obniżone — odrzekł z uśmiechem.

Zebranie się skończyło. Wszyscy je opuszczali w jaknajlepszych humorach.

— Bóg widocznie odmienił tego człowieka... i otworzył mu oczy — rozmyślał proboszcz, gdy wracał z zebrania do siebie. — Przecie to nie do wiary, aby tyle pieniędzy, tak od razu dać wsi. Bóg jest miłosierny i dziwnemi drogami chadzają jego rozkazania...

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

W piękny sierpniowy poranek siedział inżynier Niewiarski na ganku i patrzał na czerwieniące się dachy nowych, odbudowanych po powodzi domów. Tu i ówdzie dzwoniły jeszcze siekiery ciesielskie — to kończono ostatnie roboty.

Radowała się w nim dusza od pewnego czasu. Pracował zawzięcie nad odbudową zniszczonej części wsi i nie skąpił pieniędzy, bo ich przecie miał dosyć.

— Uzbierałem tego złota przygarść sporą, niechże służy, bo na to ono jest — szeptał sam do siebie wielokrotnie. — Szczęścia mi do tego czasu nie dało, niechże daje innym.

Zadowolony był z życia i pogodny. O wyjeździe zagranicę już nie myślał, chciał koniecznie pozostawić po sobie pamiątkę wsi rodzinnej.

Z proboszczem pogodzili się już dawno, ale o sprawach religijnych nigdy ze sobą nie mówili i obadwaj unikali rozmowy na ten temat, proboszcz przez delikatność, Niewiarski zaś wstydził się poprostu, że kiedyś zbyt pochopnie osądził wartość ludzi wierzących.

Dziś inaczej patrzał na wiele rzeczy, aniżeli przed powodzią. Rozmyślania nad przeznacze-

niem człowieka i nad treścią życia doprowadziły go w ostatnich czasach do zupełnie odmiennych wniosków. Odkrył w sobie samym czynnik jeszcze jeden — uczucie, którego przedtem nie znał. Spoczywało ono zagrzebane w głębi duszy, przywalone lotnym piaskiem i kamieniami, które mu życie pod nogi rzucało — omotane fałszywemi pojęciami nowoczesnej cywilizacji, opierającej się tylko na rozumie, ale było i trwało, jak iskra tlejąca w popiele.

Na zakręcie drogi wiodącej do dworku ukazała się postać proboszcza. Podniósł się Niewiarski z fotelu i wyszedł naprzeciw.

— Witam, witam księdza proboszcza — wołał inżynier. — Jak to dobrze, że dobrodziej był łaskaw, bo właśnie miałem się wybrać na plebanję...

— Pochwalony Jezus Chrystus! A to się dobrze składa, bo i ja mam do pana interes.

— Cóż nowego? Chętnie służę.

— Widzi pan, jest tu biedna wdowa na podlesiu — ciągnął nieśmiało proboszcz — starowina wielka, i potrzebuje pomocy... Chałupa jej się wali na głowę, a tu niema jej za co poratować. Powódź jej nie dotknęła, jeno lata chałupinę nadwyrężyły, a wiatry halne poszarpały strzechę, że wygląda, jak żydowska broda.

Niewiarski się zaśmiał

— Niepoprawny Samarytanin z księdza proboszcza, niepoprawny!... Ale dobrze, zrobię to dla księdza.

— Kochany inżynierze, ja wiem, że to nadużywanie dobroczynności pańskiej i dlatego proszę, abyśmy tej starowinie chałupkę zreparowali wspólnie... Krucho u mnie w kieszeni, bo się człek nadszarpnął przez powódź, ale dopóki coś jest, trzeba dać...

— Wiem, wiem, o wszystkiem wiem — śmiał się Niewiarski. — Dobrze odrestaurujemy jeszcze jeden pałac, księże proboszczu.

— Bóg zapłać, panie Niewiarski. A nie zechciałby pan przejść się zemną po wsi i obejrzeć własne dzieło? Dzień dziś piękny, drogi suche...

— Owszem, chodźmy.

— I ludzie pana radzi zobaczą — a przywiązali się szczerze i bez obłudy, jak dzieci... Mówiłem w niedzielę z gospodarzami. Nie wyobrażają sobie teraz Jodłowy bez pana. Roją im się w głowach jakieś plany, fabryki... ruch we wsi, zarobki, przemysł miejscowy... Ale ja wiem, że to tylko gadaniny, bo przecie przemysłu tu nigdy nie było — mówił z żalem proboszcz. — Była bieda, niemała i rzetelne lenistwo umysłowe. Nie było ludzi, nie było człowieka, nie było wodza... Lud to instynkto-

wnie odczuwa, że teraz jesteś pan, że mogłoby coś być — zmienić się na lepsze...

Niewiarski szedł zamyślony. Bacznie słuchał słów proboszcza, który go ujął pod ramię i mówił ze wzrastającym zapałem:

— Tak! Człowieka było brak — jednego człowieka, który wie, co chce i który ma wolę... Ja się ludziom nie dziwię, chcą żyć, chcą się rozwijać. Wiedzą przecie, że do Ameryki już tak jak dawniej, jechać nie mogą za chlebem... A tu się żenią i rodzą, jest ich coraz więcej, a ziemi do podziału coraz mniej. Gdzież pójdą?

Niewiarski milczał i ważył jakieś postanowienia, ale nie odpowiadał. Znaczenie słów księdza rozumiał i wiedział doskonale do czego one zmierzały. Oglądnęli nowoodbudowane domy i stodoły, przeszli całą dolną połać wsi i drugą stronę przygórza, zawrócili w stronę dworu.

— Zadowolony jestem z tego, cośmy zrobili, księże proboszczu — rzekł Niewiarski.

— Istotnie, wieś wygląda, jakby nie ta sama — odparł proboszcz. — Dachy czerwone... dachówka, a nie słoma, jak poprzednio... Mój Boże! Biedni jesteśmy we wsi. Ludzie by radzi budowali lepsze domy, ale ich nie stać.

— Ma ksiądz rację. Kultura zawsze idzie do góry przez kieszeń, szczególnie taka kultura.

Stanęli przed szkołą.

— Ot, i ta szkoła — rzekł proboszcz — czy taką powinna być? Wieś liczy pięć tysięcy ludności, a na poczciwą szkołę zdobyć się nie mogła... Wszystkiemu winna bieda i brak zarobków.

Minęli szkołę i dochodzili do kościoła.

— Proszę, wstąp pan do mnie na drugie śniadanie — rzekł proboszcz.

— Dziękuję, ale głodny nie jestem — odparł Niewiarski.

— To usiądźmy pod lipami i pogadamy.

— Dobrze — zgodził się inżynier.

— Małośmy się znali poprzednio, nazbyt mało — rzekł proboszcz ze szczerym żalem w głosie — i, omal nie staliśmy się wrogami.

Przeszli do ogrodu i usiedli w cieniu rozłożystej lipy.

— To była moja wina — odparł Niewiarski — i dawno już pragnąłem o tem z księdzem mówić.

— Dajmy temu spokój — przerwał proboszcz — jeżeli dziś jest inaczej...

— Właśnie sprawia mi to zadowolenie i ulży...

Proboszcz milczał, a Niewiarski po małej przerwie zaczął mówić

— Wychowałem się w innych warunkach. Dom rodzinny opuściłem, będąc prawie dzieckiem. Liczyłem wtedy lat dziewiętnaście... Poszedłem w świat obcy. Serdeczności od ludzi nie

zaznałem, a życie moje od opuszczenia domu rodzinnego, było jednem pasmem walki o byt. Pojąłem szybko, że tylko ten zwycięża na szerokim świecie, kto wierzy w siebie i we własne siły. Nie były mi potrzebne podpory obce. Wszystkiego, czego szukałem — szukałem w sobie i to, co mi było potrzebne, znajdowałem... Bogiem była mi moja nieugięta wola i mój rozum. Pod tym znakiem zdobyłem olbrzymi majątek. Byłem bezwzględnym człowiekiem i każdy środek, który mnie prowadził do celu, był dla mnie dobrym i etycznym. Pozamną jest długa droga usłana ofiarami mojej bezwzględnej walki... Miałem wszystko, co tylko nauka i pieniądze dać mogą, ale w długie bezsenne noce wyczuwałem podświadomie, że ten mój bóg mocy, bóg złota, bóg drapieżności życiowej, nie jest tym prawdziwym Bogiem, poza którym już niczego niema... Szukałem mojego Boga, księże — szukałem Go uczciwie. Nie chciałem okłamywać samego siebie i nie mogłem Go znaleść... Majaki mocy, majaki cywilizacji kłamiącej, jak tęcza, że to już będzie pogoda, przesłaniały mi drogę.

— Boże... Boże!... — szepnął do siebie proboszcz.

— Szukałem mojego Boga w nauce i nie znalazłem Go. Szukałem Go w sile woli, w sile własnego ducha i zdawało mi się, że Go widzę.

Błąkałem się, jak ślepiec, rzekomo silny wewnętrznie, a w rzeczywistości słaby, jak dom, który stoi na słabym fundamencie. Aż do ostatnich tygodni, rzucałem się, otoczony ciemnościami, aż przyszedł dzień, w którym pojąłem prawdę.

Proboszcz spojrzał na Niewiarskiego oczyma pełnymi łez.

— Pokazał mi się mój Bóg... W poświcie huraganu, który kładł całe połacie lasu, w błyskach gromów, a w oszalałej potędze żywiołów, w litości bezmiernej i w miłości serca człowieczego, ujrzałem Jego twarz... Tak, księże proboszczu. Dziś znam mojego Boga i wiem, że mój Bóg, jest zarazem twoim Bogiem.

Zapłakany cały, wstał proboszcz i tuląc głowę Niewiarskiego do swojej piersi, rzekł zdławionym głosem:

— Jesteś mi najdroższym bratem, inżynierze. Bóg uczynił łaskę nad tobą, niechże mu będą dzięki.

Słońce już było wysoko na niebie, gdy ci dwaj jeszcze rozmawiali, zapomniawszy o całym świecie, zatopieni w serdecznych spowiedziach wzajemnych. Ksiądz Jaszyk opowiadał Niewiarskiemu zwątpienia swojej duszy w latach ubiegłych i przejścia, które go utwierdziły w wierze i pokazały mu Boga.

Niewiarski zaś opowiadał mu o swoich sukcesach życiowych, o wzlotach górnych i o upadkach na ziemi obcej.

Zatopieni w serdecznej rozmowie zapomnieli o obiedzie i dopiero głos służącej, która szukała proboszcza, przerwał im te rozważania.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Złota polska jesień rozgościła się w górach na dobre. W ogródku przed szkołą kwitnęły piękne purpurowe róże i śmiały się do słońca czerwone i blado-różowe główki pelargonji, rosnących wzdłuż ścieżyn i klombów starannie utrzymanych.

W białym panieńskim pokoiku siedziała Marynia z książką w ręku i uśmiechała się swoim dobrym uśmiechem do ostatnich, ciepłych promieni słońca, i łagodnych powiewów wiatru, które niosły srebrną przędzę babiego lata, po łąkach i rżyskach — po ugorach i podorywkach ukończonych przed zimą, aby poranna rosa i szron miały się na czem iskrzyć brylantami każdego rana, gdy słońce wstanie nad Liwoczem.

Jej piękne, fiołkowe oczy, przysłonięte długiemi rzęsami patrzały z dziecinną radością na wieś zalaną potokami promieni słonecznych.

— Piękny i dobry jest świat... — szepnęła w zamyśleniu — i gdyby Niewiarska żyła, radowałaby się zemną. Jakżesz się Janek zmienił, jak bardzo się zmienił...

Na twarz wybiegły jej rumieńce, więc schyliła głowę i zasłoniła się książką.

— Dziś, miłuję go więcej, aniżeli radość życia, więcej aniżeli wszystko... wszystko!...

Przeraziła się własnej szczerości.

— Przecie jestem kobietą i prawo do szczęścia mam, a tego jednego tylko jeszcze pragnę. Tak, ale on przecie nic nie wie?... Nie powinien wiedzieć, aby nie wyśmiał, nie wydrwił... — pomyślała z przerażeniem w duszy. — Nie wie i nie będzie nigdy wiedział...

Otrząsnęła się z tych myśli i wybiegła do ogrodu. Przed furtką stał Niewiarski, a obok niego proboszcz.

— Dzień dobry, panno Marjo! — zawołał wesoło Niewiarski.

— Dzień dobry panu! Dzień dobry księdzu proboszczowi...

— Radośnie dziś na świecie — rzekł proboszcz z uśmiechem na szerokiej twarzy — więc idziemy do pani z dobrą wiadomością. Pan Niewiarski chce założyć w naszej wsi czytelnię dla dzieci szkolnych... Cóż pani na to?

— Przednia myśl, ale skądże ona? — zapytała Stańska trochę przekornie.

— Ot, tak sobie przyszła, więc chcę jej realizację zlecić pani, jeżeli jest dobra — odrzekł młody człowiek.

— Myśl przednia! A to się moja dzieciarnia ucieszy... Jakiż anioł podsunął panu taką myśl?

— Nie wiem, nie wiem... utnij mi pani głowę — śmiał się Niewiarski — a nie będę mógł dać odpowiedzi, bo tego anioła nie znam...

— Pan Niewiarski, jak pani zresztą widzi, w żarty obraca swoje dobre uczynki — zauważył wesoło proboszcz.

— Tak kochanego księdza szanuję, tak nie wiem i kwita! Ot, przyszła mi myśl, aby tak zrobić. Nikt o dziatwie nie myśli za wyjątkiem pani i księdza proboszcza, niechże ja coś pomogę tym małym duszom dziecięcym...

Stańska patrzała w twarz Niewiarskiego jak w tęczę. Oczy jej płonęły, a wargi drżały febrycznie, co było znakiem, że jest radośnie wzruszona.

Zauważył to proboszcz i pomyślał:

— Albo się tak raduje tą przyszłą czytelnią, albo tego człowieka kocha...

— A więc, pani powierzamy ułożenie całego planu. Tak zadecydowaliśmy z kochanym księdzem proboszczem i od naszej prośby nie odstąpimy... Zgadza się pani?

— Ależ, naturalnie... mój Boże, co to będzie za radość w szkole...

— A będzie, będzie — mruczał zadowolony proboszcz i zmrużywszy filuternie jedno oko, dodał: — Nad tą czytelnią, to już oboje musicie państwo radzić, bo ja się na tem nie znam....

— Jakto, księże proboszczu? — zapytał zdziwiony Niewiarski, który intencji proboszcza nie pojął.

— A takto, kochany inżynierze, że wymyśliłeś sobie czytelnię dla dzieci, to się nią zajmij z panną Marją, a mnie dajcie spokój... Mam ja swoich spraw kościelnych sporo, więc musicie mi przebaczyć... Zresztą, jak będziecie sami radzić, to może uradzicie coś więcej, jak czytelnię...

Przy tych słowach uśmiechnął się znacząco, przymrużył oba oczy i dodał:

— A ja wam tego życzę z całego serca...

Stańska pojęła aluzję serdeczną i zapłoniła się jak piwonja.

Niewiarski zakłopotany milczał. Teraz i on zrozumiał.

— Więc jakże? — pytał nielitościwie proboszcz — dziś chcecie radzić, czy jeszcze poczekacie? Radzę się spieszyć, bo na zimę bibljoteka dzieciom potrzebna...

— Jutro przyjdę do pani — rzekł Niewiarski, aby wyjść z tej kłopotliwej sytuacji.

— Dobrze...

— Jużeśmy pani wszystko powiedzieli — rzekł wesoło proboszcz rad ze siebie — a teraz żegnamy, bo zabieram inżyniera w pole. Idziemy obejrzeć, czy moje żyto już wzeszło na przygórzu. Popatrzymy stamtąd na szkołę...

Niech pani dobrze uważa, to inżyniera zobaczy...

Była to trzecia z rzędu aluzja wymierzona w stronę panny Maryni.

— Dowidzenia — rzekł Niewiarski i uścisnął podaną sobie rękę. — Przyjdę jutro w południe.

— Dobrze — odparła z prostotą.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia, księże proboszczu.

A gdy odeszli kawałek od szkoły, proboszcz ujął Niewiarskiego pod ramię i rzekł z wielką powagą:

— Powinieneś się inżynierze ożenić...

Niewiarski aż odskoczył w bok.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony, ale proboszcz nie odrazu dał odpowiedź.

— Panna Stańska zacna kobieta — ciągnął tok swoich myśli. — Znam ją i wiem, że o lepszą żonę i matkę, trudno ci będzie inżynierze...

— Ależ, księże proboszczu, ja nie mam zamiaru się żenić...

— Nic nie szkodzi! Ale możesz jeszcze mieć — odparł z głębokiem przekonaniem, jakby ogłaszał prawdę nie ulegającą wątpliwości.

— Nigdy o tem nie myślałem.

— Tem lepiej. Mężczyzna nie powinien zbyt często myśleć o kobiecie, bo to wychodzi na

złe, ale taki mężczyzna jak ty, myśleć o tem powinien. Kościół powiada, że mężczyzna powinien mieć żonę. Cóż ty na to? Nie myślałeś nad tem, mój kochany inżynierze, to pomyśl. Tak przecie żyć nie możesz...

— Dlaczego?

— Bo stary kawaler, to tak jak kozieł w warzywniku za ogrodnika... Pojmujesz mnie inżynierze?

— Doskonale! — rzekł z uśmiechem Niewiarski.

— A widzisz!... Rację mam świętą, przeto mi nie neguj.

Niewiarski się zamyślił i tak szli miedzami, przez pola, coraz wyżej i wyżej, aż na przygórze, gdzie miało wschodzić proboszczowe żyto, nie tak dawno zasiane na zacnej polskiej ziemi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

W skupieniu ducha rozmawiał dziś Niewiarski sam z sobą:

— Byłem jak okręt, który wypłynął na bezkres oceanów i zapomniał, że przy brzegach są porty zaciszne, w których praca wre, a życie się kłębi i tryska fontannami barw i sił ogromnych. Byłem, jak okręt, na którym w środek nawy wbito trzy maszty ogromne... Na pierwszym usiadła myśl drapieżna i szybka, jak orzeł — na drugim wola żelazna, potęga przeogromna duszy człowieczej. Na trzecim, jak płachta żaglowa łopotała drwiąco odwaga i zuchwałość tych, co zawsze zwyciężają, co się burz i gromów, ani złudzeń nie boją, i kogo zechcą na morzu wyminą... A choć się niebo i morze palą od gromów, to okręt płynie, w bezkres, przed siebie zawsze, bo wie, że do portu nigdy nie dopłynie... Nie miałem przy sterze serca... Błąkał się mój okręt po wszystkich oceanach i morzach świata. W jasne, księżycowe noce płynął, jak zjawa zimna i bezduszna. W huraganowe burze pruł zuchwale wody najzdradliwszych wirów i nie utonął, abym poznał całą nędzę złudzeń człowieczych, całą słodycz fałszywych zwycięstw i gorycz potworną upadków... Prowadziłeś mnie, Ty, Boże

Wszechmogący po wszystkich ścieżkach życia, od najniższych dolin upadku, po najwyższe szczyty poznania, tylko mi twarz swoją kryłeś, abym w bluźnierstwie cierpiał, jak strącony anioł Twój.... Karałeś mnie, Boże, słusznie i smagałeś rózgą moich złości, abym tem silniej czuł własne winy. Przez dumę, jaką mi dało złoto, nie rozumiałem własnej matki, która mi życie dała i krew z żył swoich. Wyrzuciłem Cię z serca i z myśli, a Ty tego chciałeś, abym tem silniej odczuł moją nędzę człowieczą... Dałeś mi moc, potęgę złota, zabranego nędznym tchórzom, abym tem wyraźniej poznał moją własną słabość wobec Ciebie... W skamieniałości serca mojego zapaliłeś wieczny ogień myśli, która ani na chwilę mnie nie opuszczała, abym poznał mękę świadomości. Podnosiłeś ducha mojego wysoko, skąd widziałem czołganie się robactwa, jedynie po to, abym się potem czołgał razem z nim... Nauczyłeś mnie mądrości ludzkiej, abym ją uważał za Ciebie, a potem poznał jej małość wobec Twojej potęgi. Wyzbyłem się serca i miłości, abym przez miłość człowieczą tego, którego byłem wrogiem, poznał, że Ty jesteś Miłością i tylko przez nią dojść można do Ciebie. Przez serca wzgardzonego ludu pokazałaś mi twarz swoją, Wielki, Nieśmiertelny, wszystko obejmujący Boże!...

Wielka jest moja wina i niepoprawna jest moja dusza, o, Boże... Rodzinną ziemią gardziłem, jak zawszawionym kożuchem, a przecie z tej ziemi jestem wziętym prochem i błotem. Z niej wyszło to, co jest mną i do niej powinno wrócić...

Święć się imię Twoje, zato, iż w dobroci swojej otwarłeś źrenice moje. Bądź wola Twoja w duszy mojej po wieczne czasy.

Odpuść mi moje winy, abym dobrze mógł czynić i nie wódź mnie na pokuszenie...

Długo w noc modlił się Niewiarski, a gdy już gwiazdy poczęły blednąć na niebie, otworzył okno w swoim gabinecie i patrzał na uśpioną wieś.

— Mam do spłacenia dług... — szepnął cicho do siebie. — Dług za ojców moich i za siebie — dług wobec tej ziemi rodzinnej, wielki, święty, nigdy niewypłacony dług.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

— Księże proboszczu, przyszedłem tu z wielką prośbą — rzekł Niewiarski, zjawiwszy się zaraz po mszy na plebanji.

— Cóż się stało? Tak rano? Ho, ho! Coś w tem jest...

— Owszem, jest...

— Coś mi pan nie tęgo dziś wygląda — rzekł proboszcz, bacznie się przyjrzawszy twarzy Niewiarskiego.

— Spałem kiepsko. Rozmyślałem nad sobą... Księże proboszczu, postanowiłem nazawsze pozostać w Jodłowej i tej ziemi rodzinnej spłacić dług...

Proboszcz spoważniał na twarzy.

— Tak postanowiłem i proszę o radę w jednej sprawie. W Jodłowej zbuduję fabrykę, aby lud miał zarobek, a ja zatrudnienie i utrzymanie. Nie robię tego z filantropji. Będę wymagał pracy od ludzi i za to będę płacił. Nie jest mi obojętnem, gdzie to będę robił i dlatego wybrałem wieś rodzinną. Chcę spłacić dług... Ksiądz proboszcz mnie rozumie? Mówiliśmy przecie o tem kilkakrotnie?

Proboszcz przytwierdził skinieniem głowy.

— To, co zdobyłem na szerokim świecie, chcę złożyć do wspólnego skarbca narodu polskiego, ale jest jeszcze jedna sprawa...

Przy tych słowach się zawahał.

— Cóż takiego?

— Pragnę, aby to, co zdobyłem ciężkim wysiłkiem mojej duszy, co we mnie jest z mocy ludzkiej i świadomości twardej swojego ja, nie przepadło. Chcę to przekazać tym, co po mnie przyjść powinni, aby dzieło rozpoczęte prowadzić z pokolenia w pokolenie...

Proboszcz miał oczy pełne łez. Objął Niewiarskiego ramieniem i całując go w głowę rzekł:

— Bracie mój... bracie serdeczny, niech ci Bóg Najwyższy błogosławi. Marzenie mojej duszy wypełniasz, serce mi bierzesz jak swoje na zawsze, radość wielką gotujesz wielu biedakom i Bóg ci za to zapłaci stokrotnie.

Niewiarski rozczulony brał księdza w ramiona i mówił przerywanym głosem:

— Rozmawiałem wczoraj z duszą swoją i spowiadałem się Bogu ze wszystkich win moich...

— Tyś miał winy? — zapytał z radosnym uśmiechem ksiądz. — Ty? sama dobroć...

— Wielkie były moje winy, księże, wielkie — ale mi je Bóg przebaczy.

— A widzisz? — rzekł proboszcz z dziecinnym, słodkim uśmiechem na ustach. — Bóg jest dobry, i ja to zawsze wszystkim mówię, ale nie wierzą w swojej ślepocie. Ba! byłbym

zapomniał. Trzeba ci żony. Żona jest, jak Amen w pacierzu jest.

— Jakto? — zapytał Niewiarski.

— Jest i kocha się w tobie...

— Kto taki?

— Nie udawaj mój drogi przedemną, bo grzeszysz.

— Jak Boga kocham, księże proboszczu, że nic nie wiem.

— Toś ślepy, jak stary koń. Kocha się w tobie, wiem napewno. Nie potrzeba tego mówić, bo ja i bez tego wiedziałem... Słuchaj teraz uważnie, abyś jednego słowa nie uronił.

Proboszcz odsapnął, rozparł się wygodnie w fotelu i ciągnął dalej:

— Pielęgnowała cię w chorobie po śmierci matki. Siedziała we dworze po całych nocach i wtedy, jak mniemam, wszystko się zaczęło... Nie protestuj. Nie twoja wina, ani nie jej. Młodość ma swoje prawa. Potem się odsunęła od ciebie. Widocznie walczyła z uczuciem, ale na nic się to widać przydało. Takie już kobiety są i ani ja, ani ty tego nie zmienimy. Pojmujesz?

Niewiarski słuchał zdziwiony.

— Potem przyszła powódź. Widziałem, jak patrzała na ciebie, gdy stałeś na tamie i jak rozpaczała, gdyś tonął... cierpiała cicho i uczu-

cie swoje zachowała dla siebie, ale ja wiem, że tak jest.

— Więc co?...

— Paradny jesteś, mój drogi! Idź i poproś o rękę — przecie ja tego za ciebie nie zrobię — rzekł poczciwina z przekornym uśmiechem. — Mnie napewno odrzuci, a ciebie przyjmie. Idź idź, zaraz idź!...

Zaczął go niby wypychać z pokoju i śmiał się serdecznie.

— Katarzyno! Katarzyno! — wołał proboszcz na służącą — a przynieś no wina starego pękatą butelczynę, tego najzacniejszego, co w prawej framudze leży już od kilku pokoleń. Godzi się w takim dniu pokosztować dobrego wina, w którym radość życia i wesele się kryją.

— Kochany człowiek z proboszcza — rzekł Niewiarski, któremu lekko było na duszy.

— Ojca twojego znałem, ale tyś walny chłop! — rzekł proboszcz. — Wypijmy. — Twoje zdrowie i twojej przyszłej żony. Żebym tak był młodszy, to wiesz co? podskoczyłbym na twoim weselu, a jeszcze nigdy w życiu nie tańcowałem.

— Ile sobie proboszcz liczy?

— Ciekawyś, co? Godne roki mi przeszły — sześćdziesiątka minęła, a tu figlów mi się za-

chciewa... Ale to tak, z radości. No, jak? pójdziesz się oświadczyć?

— Pójdę! — rzekł głucho Niewiarski — ale proboszczu, przecie ja jej nie mogę powiedzieć, że ją kocham, bo toby było kłamstwo?...

— Oj, Niewiarski, Niewiarski, odważny jesteś za dziesięciu... sam to widziałem w czasie powodzi — drwił stary proboszcz — a dziewczynie się lękasz oświadczyć?... Powiedz, że ją chcesz za żonę i kwita.

— Dobrze... A jak mi da kosza?

— To się oświadczysz Kaśce! — rzekł proboszcz ze złością. — Takiego jeszcze nie widziałem... Świat przejechał cały.. Mocarz! Oświadczyn się lęka. Wstydź się i oświadcz jej się jeszcze dziś, bo cię kochać przestanę... No, jeszcze jeden kieliszek wina, na odwagę i bywaj zdrów!... Bez narzeczonej cię nie znam, zapamiętaj to sobie! — rzekł mu na odchodnem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Stańska układała właśnie plan czytelni dla dzieci, gdy do drzwi zapukał Niewiarski.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł! Biedolę się nad planem tej czytelni i nie mogę dojść do końca — rzekła młoda kobieta. — Proszę niech pan inżynier siada. W samą porę pan przyszedł.

Niewiarski stał na środku pokoju. Był trochę blady. Minę miał uroczystą, że aż młoda kobieta spojrzała na niego zaniepokojona.

— Proszę pani — zaczął jakimś nieswoim głosem — przychodzę nie w sprawie czytelni, ale w sprawie dla mnie daleko ważniejszej...

— Cóż takiego? Chętnie panu pomogę, panie Janku...

— Właściwie... proszę, mi tego nie brać za złe — postanowiłem osiąść w Jodłowej na zawsze...

— Ależ to cudownie! — przyznała panna Marynia. — Któżby to panu brał za złe? Nie pojmuję, jak...

— Przepraszam... postanowiłem panią prosić o jej rękę...

Młodej kobiecie się zdawało, że źle słyszy. Świat się jej zakręcił w oczach, jak wrzeciono.

— Co pan powiedział?...

— Proszę panią, abyś pani zechciała być moją żoną...

Głos Niewiarskiego się załamał, ale mówił cicho dalej:

— Byłem dla pani zły. Pamięta pani ową darowiznę dworku?

Młoda kobieta skinęła głową.

— Bardzo przepraszam... Nie zrozumiałem pani. Pojmowałem życie i ludzi inaczej i wiem, że błądziłem. Nie chcę pani kłamać, panno Marjo, jak romansowy kawaler... Uważam panią za uczciwą kobietę, z której będzie dobra żona i dobra matka. Jestem szczerym, może brutalnie szczerym, ale nie chcę, aby pomiędzy mną, a panią, stało kłamstwo.

— Dlaczego się pan do mnie zwraca z tą propozycją? — zapytała młoda kobieta, cała w ponsach.

— Nie jestem młodzikiem, panno Marjo. Cenię panią, jako kobietę z charakterem i z sercem. Ojczyźnie mojej muszę spłacić dług, wielki i święty dług. Obowiązkiem moim jest przekazać przyszłości to, co we mnie jest. Pragnę żony, brata, przyjaciela i towarzysza pracy...

Marynia spojrzała mu w oczy. Na jej prawie dziecinnej twarzy malowała się powaga.

— Wiem, że pan mówi prawdę i dlatego panu przebaczam... Tak się do kobiety nie

zwraca z propozycją małżeństwa, ale wyznam panu, że wolę to, aniżeli kłamstwo.

— Więc pani nie odmawia? — pytał Niewiarski z radością.

— Nie. Będę twoją żoną, Janku... kochałam cię oddawna i dziś ci to mogę powiedzieć otwarcie.

Podała mu obie ręce, które Niewiarski począł całować, a tuląc drobną postać dziewczęcia do swojej potężnej piersi, rzekł:

— Chodźmy do proboszcza, aby się ucieszył i błogosławił nam na nową drogę życia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Młodzi państwo Niewiarscy zamieszkali w starym dworku, który pamiętał setne lata. Odnowili go poczciwie, aby nie marniał, lecz owszem nabrał nowego splendoru. We wsi stała już wielka fabryka koszykarska, w której pracowało dwustu przeszło ludzi, a Niewiarski rozpoczął budowę wielkiej fabryki skrzyń drewnianych, która miała zaspokoić zapotrzebowanie połowy Państwa Polskiego.

I była znowu wiosna w górach, ale nie taka, jak rok temu. Innem tętnem biły serca ludzkie w tej wsi góralskiej.

Niewiarski stał właśnie z żoną na ganku, gdy od strona wsi szła ku dworkowi jakaś pochylona postać.

Pani Marychna podniosła rękę do czoła, aby osłonić oczy przed słońcem i zawołała:

— Proboszcz idzie!

— Już od tygodnia tu nie był — rzekł Niewiarski.

— Podobno niedomaga...

— Tak mówią.

W aleji ukazał się ksiądz Jaszyk i począł powiewać dłonią.

— Witajcie dzieci! A co u was słychać?

Oboje Niewiarscy podeszli naprzeciw staruszka.

— Zdrowi? — zapytał ksiądz.

— Dzięki Bogu — odparł Niewiarski.

Proboszcz spojrzał na Niewiarską, uśmiechnął się do jej męża i zapytał:

— No, co będzie, gadaj? Syn, czy córka?

Niewiarska się zarumieniła.

— Schowaj się kobieto za męża, schowaj, bo się spalisz od tego zarumienienia... Uf! jak mi ciężko chodzić, a tak się stęskniłem za wami, że ani rusz — musiałem przyjść. A ty, zadowolonyś? — zapytał Niewiarskiego.

— Fabryka idzie dobrze. Interesy świetne. Stawiam teraz drugą fabrykę.

— A widzisz, widzisz...

— Jestem szczęśliwy — spłacam dług...

— Z procentami go spłacasz, z procentami... — śmiał się ksiądz.

— Jeszcze nie — odparł poważnie Niewiarski — dług jest ogromny, procentów się uzbierało sporo, przez setki lat ogromnie tego dużo narosło... Spłacą ci, co po nas przyjdą.

Koniec części I.

Czcionkami drukarni L. Kapeli w Poznaniu.